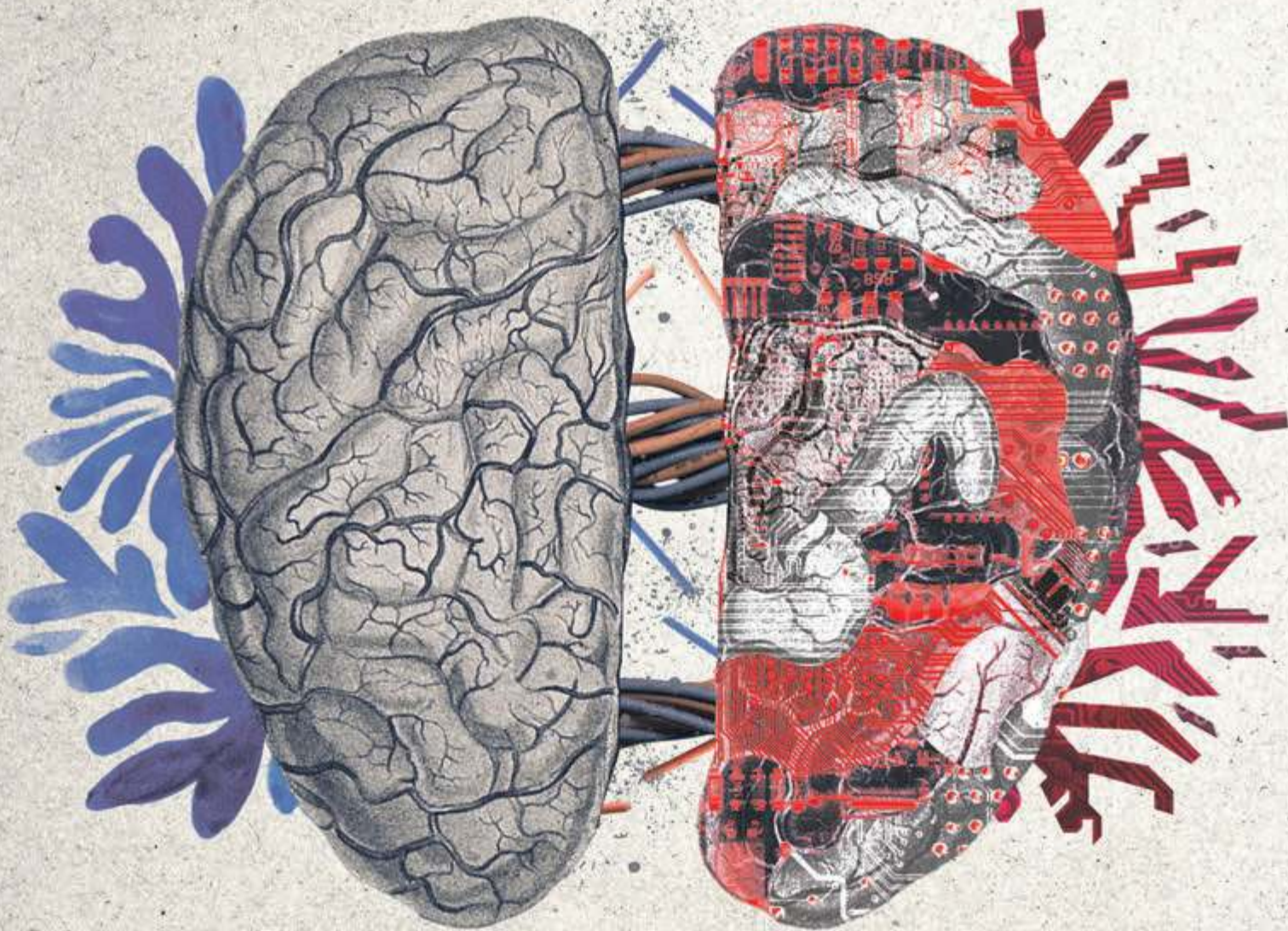


DGP

Dziennik
Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend



Generuję, więc myślę?

Jak używanie narzędzi sztucznej inteligencji
naprawdę wpływa na umiejętności człowieka

/ M3

Izrael / M9

Uznany za ekstremistę

My, Palestyńczycy, mamy niewiele możliwości. Ale możemy spróbować coś zrobić. Życie przecież toczy się dalej, polityka również
mówi Sami Abu Shehadeh

Spółeczeństwo / M16

Liczy się nasze szczęście, nie PKB

Musimy dbać o relacje międzyludzkie, tak jak o fabryki i drogi. Jeśli zaniedbamy infrastrukturę społeczną, możemy zbudować bogaty kraj, który trzeszczy w szwach
wyjaśnia Emma Holten

Wywiad / M19

Trading to też hazard

Nie twierdę, że gry hazardowe są po prostu uzależniające. Aby tak się stało, trzeba mieć w sobie specyficzne podatność i wrażliwość
tłumaczy Mark Griffiths

Polityka / M14

Po co tkwić w takim rządzie?

Przez pierwsze dwa lata jakoś wspólnie działaliśmy. Ale w ostatnim roku liczba rzeczy, które można było załatwić, spadała z dnia na dzień mówi Jan Szyszko

Wywiad / M19

Trading to też hazard

Nie twierdzę, że gry hazardowe są po prostu uzależniające. Aby tak się stało, trzeba mieć w sobie specyficzne podatność i wrażliwość dowodzi Mark Griffiths



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Stwórzmy Ministerstwo Jak Jest Naprawdę

Jan **Wróbel**

Nie raz i nie dwa proponowałem, aby zamknąć ministerstwo edukacji. Szkoły, dzieci i matury dadzą sobie radę bez niego. Mam już nawet pomysł, na co przeznaczyć środki zaoszczędzone dzięki tej restrukturyzacji. Na nowy resort – Ministerstwo Jak Jest Naprawdę.

Do tej refleksji skłoniła mnie lektura krótkiego tekstu Tymona Grabowskiego (Zero.pl) w sprawie komentarzy do wyroku dla pirata drogowego Sebastiana M. Zaczyna się prostą zapowiedzią: „Od rana zaatakowały mnie w internecie komentarze, z których wynika, że polski wyrok dla Sebastiana jest wysoki, bo w innych krajach maksymalne kary więzienia są niższe. (...) To zainspirowało mnie do sprawdzenia, jak wygląda prawo w innych krajach”. I faktycznie: autor usiadł, sprawdził i opisał, na ile prawdziwe są liczne komentarze, że w Europie pirat zabójca dostałby „dużo niższy” wyrok. W domniemaniu – dostałby niższy, bo wiemy, jak Zachód sfiksował.

Wielka sprawa – warknie ktoś. Przecież wiele razy się zdarza, że dziennikarze piszą, jak jest naprawdę, wbrew hulającym w sieci bzdurom. I działa bohaterstwo portal Demagog.pl z misją sprawdza-

nia, czy politycy powiedzieli prawdę (powodzenia). A jednak ta prosta akcja Grabowskiego wprowadziła mnie w doskonały nastrój. Czy oprócz cenzurowania treści mających wzniecać nienawiść i pogardę rząd nie mógłby finansować urzędu wyłapującego radosną twórczość internetową? Te „wszędzie na świecie...” lub „jak wszyscy wiedzą...”. Nie myślę o polemice, tylko o dawaniu ludziom dodatkowego światła w sprawach faktograficznie nieskomplikowanych. Ktoś pisze np., że „w Szwecji...” – Ministerstwo dodaje informację, jak to naprawdę w tej Szwecji jest. Wiadomo, że ostatnie dekady wyhodowały liczne plemię internautów odpornych na wszystko, co im się nie podoba. Ale złota zasada dydaktyki brzmi: kropla drąży skałę.

Niestety, wyśnione przeze mnie ministerstwo jest mniej więcej tak samo realne jak szacunek premiera dla prezydenta albo ponadpartyjny TK. W Polsce państwo jest odbierane nie jako Rzeczpospolita, lecz jako narzędzie partii. Grabowski ma szansę dotrzeć do odbiorcy z prawdziwą wiadomością, jak to jest z sądami w Niemczech. Gdyby pisał to samo jako urzędnik ministerstwa prawdy, miałby wiarygodność równą zeru. ©



FOT. TUANE FERNANDES/REUTERS/FORUM

Brazylia / M12

Lula zostaje trochę dzięki USA

Brazylijscy wyborcy dali prztyczka w nos Donaldowi Trumpowi. Geostrategiczna gra o Amerykę Łacińską będzie jednak trwała zauważa Witold Sokała

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkiewicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia
Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Place:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-
-Rybaczek (tygodnik SiA), Leszek
Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)



Wydawca Dziennika
Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Redakcja zastrzega sobie prawo do
redagowania i skracania tekstów.
Rozpowszechnianie materiałów
redakcyjnych zarówno w formie elek-
tronicznej, jak i papierowej bez zgody
wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwa wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ® – znak odpłatności; ©® – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FIP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Glowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biurowie Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

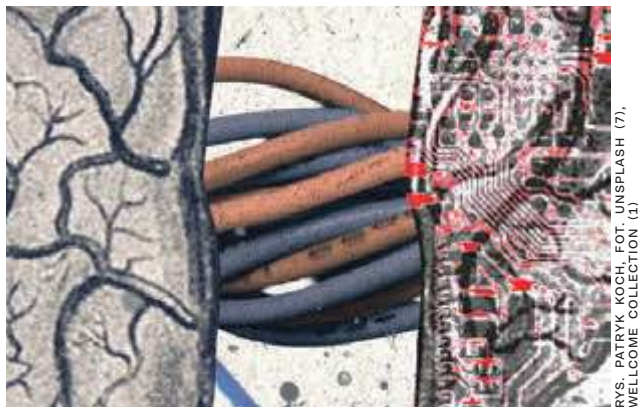


Zamówienia na prenumeratę
przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje
o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

DGP Więcej niż gazeta: **DGP.pl**
video, podcasty, analizy na

Generuję, więc myślę?



Jak używanie narzędzi sztucznej
inteligencji naprawdę wpływa
na umiejętności człowieka

Izabela

Lipińska

Michał

Moneta

Z modelem językowym pracujemy dziś szybciej, sprawniej i na większą skalę niż kiedykolwiek wcześniej. Dzięki niemu możemy dostarczać gotowe rozwiązania w rekordowym czasie. Gdy jednak wyłączamy okno czatu i próbujemy wykonać podobne zadanie samodzielnie, zaczynając od pustej kartki, odczuwamy dziwny opór – pierwszy krok wydaje się nieproporcjonalnie trudny, a dowiezienie pracy z tą samą jakością bez wsparcia staje się wyzwaniem.

Bywa też, że nie czujemy żadnego oporu. Z pomocą AI robimy rzeczy, z którymi wcześniej nie mieliśmy do czynienia: analizujemy dane, kodujemy, piszemy opinię z obcej dziedziny. Ponieważ rezultat brzmi niezwykle profesjonalnie, a tekst czyta się płynnie, zaczynamy ulegać złudzeniu, że staliśmy się ekspertami. Tylko gdy ktoś poprosi nas o wyjaśnienie wygenerowanej treści, czasem się okazuje, że nie umiemy tego zrobić.

To dwie różne, choć głęboko powiązane sytuacje. W pierwszej coś, co umieliśmy, przestaje działać jak dawniej. W drugiej dobry wynik może przesłaniać to, że sami nie opanowaliśmy danej materii. Na obie reagujemy tymi samymi pytaniami: „Czyli AI nas ogłupia? Trzeba przestać jej używać?”

Lepiej byłoby zapytać, co i jak delegujemy maszynie: co oddajemy w peł-

ni, co nadal wykonujemy sami, ale inaczej, co potrafimy jeszcze zrobić samodzielnie i jakich warunków potrzebujemy, aby to zrobić. Dopiero wtedy możemy sprawdzić, czy posiadana umiejętność słabnie albo czy nowa w ogóle miała szansę powstać.

Dlaczego akurat teraz

Lęk przed tym, że nowa technologia pozbawi nas umiejętności, towarzyszy nam od ponad 2 tys. lat. W platońskim „Fajdosie” pojawia się ostrzeżenie przed wynalazkiem pisma – ludzie, zamiast ćwiczyć pamięć, mieli polegać na zewnętrznym zapisie, zyskując jedynie pozór mądrości. Manfred Spitzer straszył „cyfrową demencją” już w 2012 r. Do tego obserwujemy odwrócony efekt

Flynna – w części krajów wyniki testów inteligencji wykazują spadek jej poziomu, a wg Jamesa R. Flynna miał on rosnąć o 0,3 pkt proc. na dekadę. Choć ten spadek zaczął się od roczników urodzonych w połowie lat 70., dekady przed upowszechnieniem się generatywnej AI, łatwo połączyć te wątki w jedną opowieść o cywilizacyjnym ogłupieniu. To jednak pułapka. Każdy z nich dotyczy czegoś innego – pamięci, koncentracji, wyników testów – a wrzucone do jednego worka przestają cokolwiek wyjaśniać.

Na tym tle wyróżnia się tekst Lisanne Bainbridge z 1983 r. o „ironiach automatyzacji”. Bainbridge nie twierdziła, że automatyzacja ogłupia. Zajął się czymś węższym i właśnie dlatego sprawdzalnym – stwierdziła, że operator, który jedynie nadzo- ➤

ruje system, może tracić te umiejętności, których będzie potrzebował, gdy system zawiedzie. Taka precyzja – wskazanie, co słabnie, u kogo i w jakich warunkach – jest niezbędna, aby analizować temat i podejmować skuteczne działania.

Ze szczególną siłą temat wrócił w 2025 r., po publikacji preprintu „Your Brain on ChatGPT” zespołu z MIT Media Lab. Badacze porównali osoby piszące eseje: z pomocą AI, z wyszukiwarką i bez żadnego wsparcia. Mierzyli aktywność mózgu (EEG) i sprawdzali, czy uczestnicy potrafią przytoczyć fragmenty tekstów, które przed chwilą stworzyli. Grupa korzystająca z AI radziła sobie z cytowaniem fragmentów tekstu najgorzej. Badanie nie dowiodło jednak atrofii umiejętności ani tym bardziej uszkodzenia mózgu – ukazało tylko, że pisanie z modelem przebiega inaczej i inaczej zapamiętujemy to, co napisaliśmy samodzielnie, a inaczej – albo wcale – to, co wygenerowaliśmy w modelu. Do tego próba była mała (54 osoby, a w kluczowej, ostatniej sesji 18), a tekst ukazał się przed recenzją naukową. Machina jednak ruszyła – media publikowały nagłówki „AI ogłupia” czy „AI uszkadza mózg”, ignorując prośby badaczy o ostrożność w doborze słów.

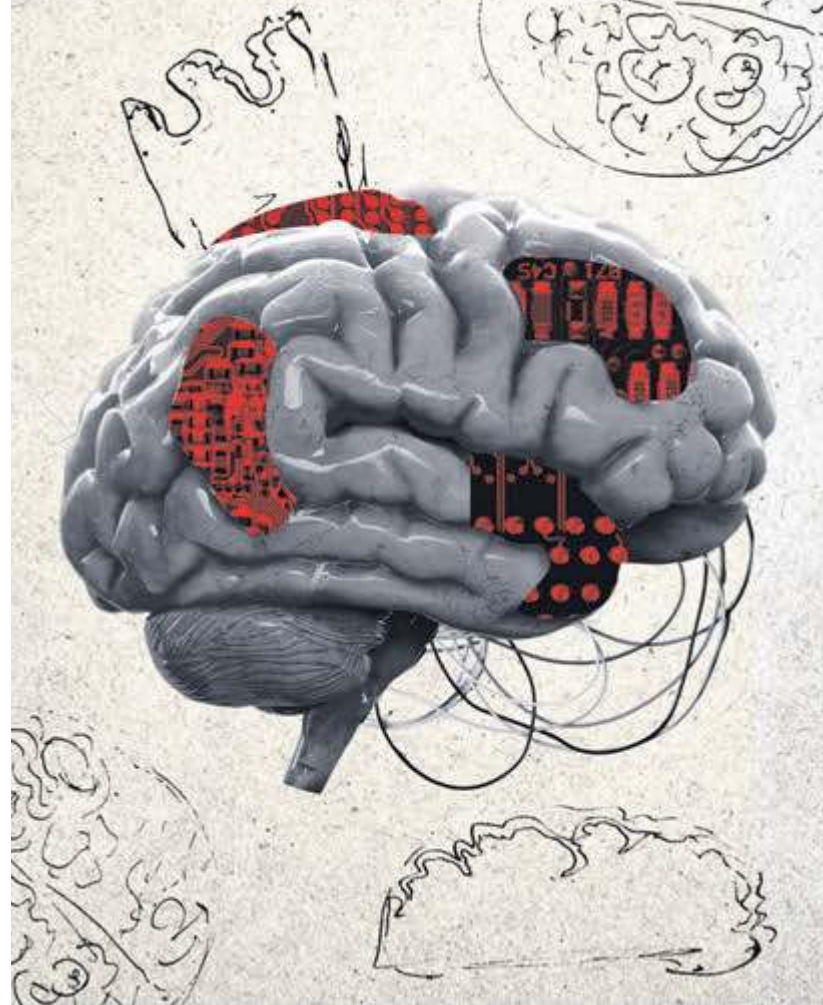
Dlaczego tym razem uderzono w tak dramatyczne tony? Ponieważ zmieniło się to, co delegujemy maszynie. To już nie tylko praca fizyczna, obliczenia czy gromadzenie danych. Cedujemy procesy myślowe, a więc to, co dotychczas uważaliśmy za konstytutywną cechę gatunku homo sapiens. A skoro myślenie definiuje nas jako ludzi, pojawia się pytanie: co się stanie, jeśli je delegujemy? Kim się staniemy, jeśli z homo sapiens wytniemy „sapiens”?

Nie idźmy jednak ani w lęk, ani w lekceważenie, postawmy na precyzję rozpoznania i działania. Zapytajmy: czym w ogóle jest umiejętność, z jakich komponentów się składa i jak dokładnie człowiek reaguje na wprowadzenie do środowiska nowej, potężnej zmiennej, jaką jest model generatywny?

Czym jest umiejętność

Tadeusz Nowacki w „Leksykonie pedagogiki pracy” podaje definicję: „Umiejętność to sprawdzona możliwość adekwatnego do sytuacji działania, oparta na wiedzy oraz wyćwiczonych wcześniej elementach sensomotorycznych”. W dalszej części podkreśla znaczenie prawidłowego odbioru i interpretacji sygnałów pochodzących od sytuacji oraz celowego działania z wyborem i zastosowaniem trafnych sposobów dostosowanych do tej sytuacji.

O posiadaniu umiejętności świadczy zatem faktyczne wykonanie działania w odpowiednich warunkach, a nie sama deklaracja wiedzy na jego temat. Umiejętność to nie ślepe odтворzenie, lecz zdolność rozpoznawania zmiennego kontekstu i adaptacji do niego, a w samo jej jądro wpisane są selekcja, samodzielny osąd oraz odrzucanie wariantów nieoptymal-



RYŚ. PATRYK KOCH, FOT. UNSPLASH (6), WELLCOME COLLECTION (1)

Organizacja łatwiej dostrzega i nagradza bieżący wynik niż to, czy pracownik się uczy i rozwija zdolność do samodzielnego działania, a to sprzyja nadmiernemu oddawaniu pracy modelowi

nych. To złożona struktura, na którą składają się wiedza, opanowana procedura, zdolność odbioru sygnałów z otoczenia, osąd oraz uwaga, która to wszystko uruchamia.

Należy jednak zaznaczyć, że nie jest ona równoznaczna z gotowym wynikiem – zwłaszcza w środowisku z AI, gdzie w rezultacie zlecenia działania maszynie można dostarczyć wynik, nie mając umiejętności wykonania bez jej wsparcia. Właśnie dlatego musimy dokonać jeszcze jednego, fundamentalnego rozróżnienia – oddzielić bieżące wykonanie zadania (performance) od trwałego opanowania umiejętności (learning). Jak wykazali Nicholas Soderstrom i Robert Bjork, wysoka sprawność obserwowana w trakcie wykonywania zadania – zwłaszcza z wykorzystaniem zewnętrznych pomocy – jest zawodnym wskaźnikiem tego, czego człowiek faktycznie się nauczył i co potrafi trwale odtworzyć.

Układ człowiek-AI dostarcza prawidłowego wyniku i jest to niezła wiadomość dla firmy, ale do czasu. Nie wiadomo bowiem, co pracownik faktycznie umie i czy potrafi wykonać daną pracę bez wsparcia systemu. Przekonanie się o tym w momencie awarii może być wyjątkowo kosztowne – dla firmy, dla jej klientów i dla pracownika.

Jak umiejętność powstaje i jak zanika

Nabywanie umiejętności to proces, w którym wiedza stopniowo przestaje być zbiorem informacji, a staje się zintegrowanym wzorcem działania. Psychologowie Paul Fitts i Michael Posner opisali go jako przejście przez trzy fazy. Najpierw świadomie przypominamy sobie, co i w jakiej kolejności zrobić, więc działamy wolno, z wysiłkiem i z błędami. Potem kolejne kroki zaczynają się łączyć, a błędów jest coraz mniej. Wreszcie działanie staje się automatyczne: wykonujemy je płynnie, a uwaga zostaje wolna i możemy ją skierować na to, co w sytuacji nowe. Do ostatniej fazy prowadzi tylko praktyka, czyli pętla wykonania, błędu i korekty, w której stykamy się z rzeczywistością. Równie stopniowo umiejętności mogą słabnąć, gdy przestajemy z nich korzystać. Czy jednak zanikają całkowicie?

Wszyscy znamy powiedzenie, że jazda na rowerze się nie zapomina. Jest w nim sporo prawdy, ale nie cała. Po roku przerwy nadal utrzymamy równowagę i będziemy pedałowali, bo rdzeń umiejętności przetrwał. Jazda jednak może być mniej płynna i możemy gorzej radzić sobie z tym,

co nieoczekiwane – nagłą przeszkodą czy śliską nawierzchnią. Słabnie więc przede wszystkim to, co Nowacki nazywa adekwatnością do sytuacji. Umiejętność nie zniknęła, ale zarzewiała. Podobnie rdzewieją język obcy czy gra na instrumencie, choć i rdza ma swoje granice. Harry Bahrick, który badał, ile z hiszpańskiego pamiętają ludzie nawet pół wieku po ukończeniu szkoły, zauważył, że po spadku poziomu opanowania języka w pierwszych kilku latach to, co zostało, utrzymuje się przez dziesięciolecia.

Nie wszystkie elementy umiejętności są równie trwałe. Znaczenie ma to, jak dobrze je opanowaliśmy, jak często z nich korzystaliśmy i jak długo pozostawały nieużywane. Łatwiej utracić to, co słabo wyćwiczone. Wielokrotnie utrwalane sekwencje mogą przetrwać długą przerwę w używaniu. Przegląd badań nad zanikiem umiejętności, który przeprowadził Winfred Arthur ze współpracownikami, pokazał natomiast, że zadania poznawcze były bardziej podatne na spadek poziomu ich wykonywania niż zadania fizyczne.

Dla naszej diagnozy kluczowe są dwie kwestie. Po pierwsze, umiejętność nie jest monolitem, który można po prostu utracić. Pracując z modelem, nie tracimy od razu wszystkiego; poszczególne elementy mogą zachowywać różną trwałość. Po drugie, praca z AI nie oznacza całkowitej przerwy w wykonywaniu zadania. Model przejmuje wybrane działania, a pozostałe nadal możemy wykonywać sami – pod warunkiem że świadomie pokierujemy tym procesem. Ryzyko osłabienia umiejętności wykonywania operacji dotyczy zwłaszcza tych z nich, których przestajemy używać i które, pozbawione tarcia o rzeczywistość, nie dostają już informacji zwrotnej, w tym informacji o błędach. Ten zaś, kto dopiero się uczy, może z modelem utknąć w pierwszej fazie: rozumie wyjaśnienia, zna pojęcia, ale nigdy nie przechodzi przez praktykę, która prowadzi do samodzielnego czy eksperckiego działania.

Deskilling deskillingowi nierówny

Pod hasłem „deskilling” kryją się różne zjawiska. A przecież, jeśli nie wiemy, co dokładnie słabnie, nie wiemy też, jak temu przeciwdziałać. Przyjrzyjmy się krytycznie badaniom w tym obszarze.

W badaniu Judy Shen i Alexa Tamkina 52 programistów uczyło się nowej biblioteki Trio, części z nich pomagała AI. W późniejszym teście, który sprawdzał rozumienie pojęć, czytanie kodu i diagnozowanie błędów, osoby korzystające z AI wypadły gorzej niż te, które uczyły się samodzielnie. To problem nabywania nowej umiejętności, a nie utraty już posiadanej. Wśród osób, które uczyły się z modelem, były dwie, które najpierw generowały kod, a później prosiły model o wyjaśnienie, żeby zrozumieć powody takiej, a nie innej generacji – te osoby zdały test

z wynikiem wyższym niż grupa ucząca się bez AI.

W innym badaniu Krzysztof Budzyna i współpracownicy przeanalizowali wyniki kolonoskopii wykonywanych przez doświadczonych endoskopistów. Porównali wskaźnik wykrywania gruczolaków w badaniach wykonywanych bez wsparcia AI przez trzy miesiące przed wprowadzeniem systemu i trzy miesiące po nim. Wskaźnik spadł z 28,4 proc. do 22,4 proc. Dlaczego? Teżo badanie nie rozstrzyga.

W eksperymentach Grace Liu i współpracowników wystarczyła krótka, 10–15-minutowa sesja z GPT-5, by po nagłym odebraniu wsparcia uczestnicy radzili sobie gorzej niż grupa pracująca bez AI. W dwóch z trzech eksperymentów częściej także rezygnowali z wykonania zadania. W tak krótkim czasie trudno mówić o zaniku umiejętności. Różnica może po części wynikać z tego, że sztuczna inteligencja przyzwyczaja do natychmiastowych odpowiedzi i odbiera doświadczenie samodzielnego mierzenia się z trudnością. Dodatkowo, skoro AI wykonuje zadanie w kilka sekund, samodzielna praca może się wydawać nieproporcjonalnie trudna w porównaniu z natychmiastową odpowiedzią modelu.

Benjamin Storm, Sean Stone i Aaron Benjamin pokazali z kolei, jak zmienia się nawyk sięgania do własnych zasobów. Osoby, które przy trudnych pytaniach korzystały z wyszukiwarki, częściej sięgały po nią także przy pytaniach łatwych i robiły to szybciej, krócej przeszukując własną pamięć. Wskazuje to jednak raczej na zmianę nawyku niż na utratę wiedzy. Już w 1966 r. Endel Tulving i Zena Pearlstone odróżnili informację przechowywaną w pamięci (availability) od tej, którą potrafimy w danym momencie wydobyć (accessibility). Robert Bjork i Elizabeth Bjork rozwinęły tę myśl, odróżniając stopień utrwalenia informacji od łatwości jej przywołania. Trudność z przypomnieniem sobie wiedzy nie musi oznaczać, że zniknęła ona z pamięci. Skuteczne samodzielne przywołanie poprawia natomiast późniejszy dostęp do niej. Kto stale sięga po gotową odpowiedź, rezygnuje właśnie z tego wzmocnienia.

W innym badaniu – przeprowadzonym przez Hao-Pinga Lee i współpracowników – 319 pracowników umysłowych opisało 936 przykładów korzystania z AI. Badani wskazywali na przesunięcie wysiłku z wykonania zadania na weryfikację informacji, łączenie odpowiedzi i nadzór nad wynikiem. To inna umiejętność niż wykonanie. Im bardziej badani ufali AI, tym rzadziej deklarowali angażowanie krytycznego myślenia.

Badania te pokazują, że nie wszystko, co nazywamy deskillingiem, jest utratą samej umiejętności. Co zatem tracimy? Tu z pomocą może przyjść rozróżnienie filozofa Ernesta Sosy. Oddziela on rdzeń kompetencji – seat, czyli dyspozycję, którą człowiek ma niezależnie od stanu, w jakim aktualnie się znajduje – od shape, np. przytomności czy skupienia. Trzecim elementem są warunki zewnętrzne (situation). W części badań obserwujemy zmianę gotowości do wysiłku,

sposobu angażowania uwagi, pamiętania, wyboru tego, co przestajemy wykonywać, czy tego, co w nowym środowisku pozostaje dla nas ważne, a co schodzi na dalszy plan. Rama Sosy nie mówi nam więc, co się stało, tylko o co trzeba zapytać, a od odpowiedzi zależy, co trzeba robić: umiejętność, która nie zdążyła się wykształcić, trzeba zbudować, tę, która osłabła, odświeżyć, a gdy problem dotyczy uwagi czy gotowości do wysiłku, zmienić sam sposób pracy z modelem.

Co w pracy z AI sprzyja tym zjawiskom

Po pierwsze, płynność. Model językowy operuje na tekście bez doświadczenia i bez bezpośredniego dostępu do rzeczywistości, o której pisze. Mimo to potrafi wygenerować płynną i przekonującą odpowiedź. Niestety także wtedy, gdy jest ona błędna. Model jest trenowany na przewidywaniu kolejnych fragmentów tekstu, więc płynność wynika z samego treningu, a nie z trafności treści. Dla nas działa jednak jak sygnał – pewność i sprawność wypowiedzi rozmówcy podświadomie traktujemy bowiem jako wskazówkę co do jego kompetencji. Ponadto Rolf Reber i Norbert Schwarz pokazali, że łatwość odczytania twierdzenia wpływa na ocenę jego prawdziwości. Łatwo więc przypuszczać, że tekst, który czyta się płynnie, wzmacnia oba złudzenia: on sam wydaje się prawdziwszy, a jego nadawca bardziej kompetentny, niż jest.

Po drugie, antropomorfizacja. Rozmowa w języku naturalnym sprzyja odczytywaniu odpowiedzi modelu tak, jak odczytujemy wypowiedzi drugiego człowieka. Łatwo przypisać mu rozumienie, intencję pomocy czy troskę o nasz postęp. Problem pojawia się wtedy, gdy z samego sposobu wypowiedzi wnioskujemy o rzeczywistych właściwościach lub działaniach systemu. „Rozumiem, z czym masz trudność” bywa odbierane jako trafna diagnoza naszego stanu wiedzy, a „sprawdziłem” jako dowód rzeczywistej weryfikacji. Stąd prowadzi możliwa droga do deskillingu: jeśli zakładamy, że system nas rozumie, kontroluje poprawność i pilnuje naszego postępu, łatwiej oddać mu również ocenę, którą powinniśmy nadal ćwiczyć sami. Jak pamiętamy, Hao-Ping Lee i współpracownicy pokazali, że większe zaufanie do AI wiąże się z rzadszym deklaramentem krytycznego myślenia. Badanie nie rozstrzyga, czy źródłem tego zaufania była antropomorfizacja, ale pokazuje, że zaufanie idzie w parze z mniejszą dozą własnego osądu i krytycznego myślenia.

Kolejnymi są sykofofancja i jakość informacji zwrotnej. Trening modeli oparty na ocenach ludzkich preferencji może premiować zgadzanie się z użytkownikiem kosztem trafności. Mrinank Sharma i współpracownicy pokazali, że modele potrafią wycofywać poprawne odpowiedzi pod naciskiem użytkownika i oceniać treść życzliwiej, gdy użytkownik da do zrozumienia, że mu się ona podoba. Szer-

szym kontekstem są cele biznesowe dostawców: satysfakcja użytkownika i chęć powrotu do rozmowy nie muszą iść w parze z wymagającą, rzetelną informacją zwrotną. Ta bowiem mogłaby nas skłonić do zmiany modelu na bardziej „przyjazny”. Możliwość popełniania błędów bez wstydu i karzącej oceny może pomagać w nauce, ale tylko wtedy, gdy życzliwości towarzyszy jasne wskazanie pomyłki. Sykofofancja osłabia właśnie tę korektę. Gdy model potwierdza błędne rozumowanie, użytkownik nie dostaje sygnału potrzebnego do poprawy, a jak już wiemy, umiejętności budują się w dużej mierze na drodze korygowania błędów.

Wpływ ma również sposób użycia. Praca z modelem łatwo zmienia nasze nawyki, najważniejsza zmiana to rezygnacja z własnej próby odpowiedzi przed wygenerowaniem odpowiedzi modelu, a przecież tego, co wytwarzamy samodzielnie, uczymy się efektywniej. Do tego dochodzi przekonanie, że „zawsze mogę wrócić do chata” – młodsza i potencjalnie bardziej niebezpieczna wariacja na temat popularnego „efektu Google”. Oba te zjawiska osłabiają motywację do zapamiętywania i samodzielnego przywoływania, a więc do tego, co według opisanych wyżej badań Bjorków wzmacnia dostęp do wiedzy. Wreszcie: kiedy ocenę własnego postępu oddajemy modelowi, tracimy okazję do refleksji, która sama jest skuteczną techniką uczenia się. Badacze ostrzegają w tym kontekście przed metapoznawczym lenistwem.

Ważne są także warunki. Praca odbywa się w konkretnym środowisku organizacyjnym. Presja „szybciej i więcej”, którą Byung-Chul Han opisuje jako rys społeczeństwa osiągow, wzmacnia naturalną skłonność do poznawczego odciążania się. Tu domyka się wątek różnicy między performance a learning – organizacja łatwiej dostrzeże i nagradza bieżący wynik niż to, czy pracownik się uczy i rozwija zdolność do samodzielnego działania w przyszłości, a to niestety sprzyja nadmiernemu oddawaniu pracy modelowi.

Paradoks superwizora i inflacja ekspertów

W tym miejscu dochodzimy do jednego z fundamentów świadomej pracy z AI. Żeby ocenić odpowiedź modelu, musimy rozumieć zadanie, które mu zleciliśmy. Niekoniecznie w najdrobniejszych szczegółach. Analizując z pomocą modelu raport sprzedaży, nie musimy wykonywać obliczeń na poziomie zawodowego statystyka, powinniśmy jednak rozumieć składowe takiej analizy, jej typowe pułapki i to, jak powinien wyglądać jej wynik. Ocena jest więc inną umiejętnością niż wykonanie, ale wyrasta z doświadczenia wykonywania. A to doświadczenie słabnie, gdy wykonanie przejmie model. Żeby nadzorować jego pracę, potrzebujemy umiejętności, które przestajemy nabywać i których nie używamy, bo zadania, które je budowały, oddaliśmy maszynie. Nazwijmy to paradoksem superwizora – im

więcej zadań delegujemy, tym bardziej liczą się zdolności potrzebne do nadzoru i tym trudniej je utrzymać.

Stąd zjawisko, które roboczo nazywamy inflacją ekspertów. Kim jest ekspert w świecie, w którym niemal dowolne rozwiązanie można wygenerować z pomocą narzędzia, którego odpowiedzi brzmią w dodatku do bólu fachowo? Ekspertów przybywa: każdy może przedstawić analizę, kod czy opinię z obcej dziedziny. Tyle że płynność odpowiedzi łatwo wziąć za dowód kompetencji. Nie zawsze więc widać, że za taką ekspertyzą nie stoi praca, która czyni kogoś fachowcem. Tej drogi nie da się skrócić: prowadzi przez własną praktykę, błędy i ich korektę.

Jeśli ta hipoteza jest trafna, to ma też drugą, mniej widoczną stronę. Pozornych ekspertów może przybywać, a prawdziwych ubywać. Nowi słabiej nabywają umiejętności, a u doświadczonych słabną te elementy, z których przestali korzystać. To jeszcze nie diagnoza, ale warto o tym pomyśleć, zanim zabraknie tych, którzy potrafią ocenić, czy model się myli.

Jak korzystać, aby nadal umieć?

Wybór własnego sposobu pracy poznawczej na najbliższe lata nie jest prostą dychotomią – „z AI” albo „bez AI”. Jak się zdaje, użyteczność samej technologii i jej wszechobecność stopniowo dokonują go zresztą za nas. Ważniejsze pytanie brzmi: jak pracować z modelem, aby z jednej strony zachować mentalną sprawność (i sprawczość!), a z drugiej – korzystać z dobrodziejstw automatyzacji, nie nadając jej bainbridge’owskiego ironicznego charakteru? Tak, żeby oprócz umiejętności uważnego czytania, którą wykazał się każdy, kto dotarł do tego miejsca, ochronić także inne składowe umiejętności, które czynią nas sapiens. ©



FOT. WOJTEK BIAŁY/MAT. PRAS.

Izabela

Lipińska

filozof, pedagog pracy, twórca rozwiązań AI w ramach autorskiego podejścia ontologicznego adekwatności, członek instytutu badawczego GAIA



FOT. MAT. PRASOWE

Michał

Moneta

badacz i specjalista ds. jakości uczenia się i myślenia w erze AI, wykładowca Uniwersytetu SWPS, konsultant i trener. Rozwija obszar Digital Cognition, łącząc psychologię, ekonomię behawioralną, oraz AI do projektowania bezpiecznych poznawczo sposobów pracy z technologią

To nie bunt AI jest najgroźniejszy

Najgroźniejsze jest to, że agent może nas źle zrozumieć i że da się go oszukać. Więc AI powinna samodzielnie wykonywać tylko te zadania, których wynik da się cofnąć i które nie wychodzą poza nasz komputer

Z Michałem

Lidzbarskim

rozmawia Edyta Roś

Czy AI może już obsługiwać komputer, tak jak człowiek? Tak. Agent widzi ekran i porusza kursorem myszki, potrafi klikać, a także pisać oraz przełączać się między programami. Choć nie zawsze robi to tak sprawnie jak my. Ale „jak człowiek” nie oznacza jeszcze „zamiast człowieka”. Przykład: niedawno podczas szkolenia, w którym brałem udział, jeden z uczestników poprosił AI o znalezienie działki na Geoportalu. Agent gubił się, prosił o dodatkowe zrzuty ekranu, wykonanie zadania zajęło mu o wiele więcej czasu niż człowiekowi. Na podobne problemy wskazują autorzy jednego z najważniejszych testów agentów komputerowych: AI potrafi zgubić warunki zadania, zgadywać zamiast pytać i nie sprawdzić poprawności wyniku. Tak więc AI dostała na razie ręce mogące obsługiwać komputer, ale jeszcze nie ma głowy.

Skoro AI nie ma jeszcze głowy, to obawy o bezpieczeństwo są jak najbardziej uzasadnione. Co może pójść nie tak, jeśli agent dostanie pełny dostęp do naszego komputera? Może się pomylić, może dać się oszukać i może zrobić z naszymi kontami, w tym bankowymi, coś, czego nie chcielibyśmy. Najgroźniejsze jest to, że AI się zbuntuje. Najgroźniejsze jest to, że może nas źle zrozumieć i że da się ją oszukać.

W jaki sposób? Pierwsze ryzyko to zwykły błąd. AI może źle zrozumieć polecenie, kliknąć niewłaściwy przycisk, nadpisać plik czy wysłać wiadomość do złej osoby. Im zadanie bardziej skomplikowane, tym więcej okazji do pomyłek. OpenAI podaje, że w celowo podchwytliwych testach biurowych jej najmocniejszy model wykonał niewłaściwe działanie w ok. 3 proc. zadań. To znacznie mniej niż wcześniej, ale wciąż nie zero. Drugie ryzyko to prompt injection, czyli ukryte polecenia podrzucone AI w e-mailu,

dokumentnie czy na stronie internetowej. Człowiek ich nie widzi, lecz AI może potraktować je jak instrukcję właściciela komputera. W publicznym teście bezpieczeństwa udało się oszukać wszystkie 13 badanych modeli; najlepszy dawał się nabrać raz na ok. 200 prób. To pokazuje, że problem nie znika wraz z rozwojem modeli. Trzecie ryzyko to zakres dostępu. AI działa na naszych uprawnieniach i zalogowanych kontach. Jeśli ma dostęp do banku, poczty z danymi klientów czy panelu sklepu, może potencjalnie działać również tam. Dlatego im więcej AI może zrobić, tym bardziej trzeba ograniczać jej dostęp.

To w takim razie gdzie powinna przebiegać granica między tym, co AI może zrobić samodzielnie, a tym, przy czym zawsze powinna zapytać człowieka o zgodę? AI powinna samodzielnie wykonywać tylko te zadania, których wynik da się cofnąć i które nie wychodzą poza nasz komputer. Zaś o zgodę powinna pytać zawsze, gdy chodzi o konta bankowe, gdy wysyła i podpisuje w naszym imieniu i gdy usuwa dane. Sam sprawdzam to trzema pytaniami: czy da się to cofnąć? czy to wychodzi poza mój komputer? czy działanie kosztuje albo do czegoś mnie zobowiązuje?

Jeśli na wszystkie trzy pytania odpowiedź brzmi „nie”, to... To AI może działać, szukać informacji, porównywać oferty, porządkować pliki czy przygotowywać zestawienia. Jeśli choć raz pada odpowiedź „tak”, to AI powinna się zatrzymać i zapytać. Dotyczy to m.in. płatności, wysyłania wiadomości i plików, akceptowania umów i regulaminów, podpisów, usuwania danych, haseł oraz zmian w zabezpieczeniach. To podejście jest np. zgodne z zasadami OpenAI, które wymaga potwierdzenia przed działaniami trudnymi do cofnięcia lub powodującymi zobowiązania finansowe czy prawne. Podobną ostrożność widać po stronie użytkowników – według raportu „E-commerce w Polsce 2026” 71 proc. kupujących nie oddałoby AI wyboru i zakupu nawet codziennych produktów.

Jest tylko jedna pułapka. Jeśli AI zacznie często pytać, to po kilku

dniach zaczniemy machinalnie się zgadzać. Dlatego pytań powinno być mało, lecz zawsze powinny pojawiać się przy działaniach nieodwracalnych. Do tego AI powinna dostać dostęp tylko do tego, czego potrzebuje. Do konkretnego folderu zamiast całego dysku, do jednego konta zamiast wszystkich. Im więcej AI może zrobić samodzielnie, tym mniej powinna móc zrobić bez pytania.

Jeśli AI widzi wszystko, co robimy na komputerze, to kto właściwie ma dostęp do naszych danych? Przede wszystkim firma, która AI dostarcza, a w określonych sytuacjach także jej pracownicy, nasz pracodawca, sądy i organy ścigania. Zaczę od tego, jak AI „widzi”. Robi zdjęcia ekranu, czyli zrzuty, i wysyła je na serwery dostawcy, gdzie są analizowane. Zrzuty stają się częścią rozmowy z AI, tak samo jak tekst, który wpisujemy. Anthropic, twórca Claude’a, przyznaje, że jego asystent w przeglądarce internetowej nie umie odfiltrować z tego, co widzi, wrażliwych informacji. Dostęp więc może mieć dostawca, czyli w przypadku ChatGPT firma OpenAI, pracownicy dostawcy, nasz pracodawca, jeśli konto założyliśmy na służbowy adres i zarządza nim firma. A także sądy i organy ścigania oraz każdy, kto przejmie nasze konto w ChatGPT. Często zależy to też od rodzaju licencji wykupionej w narzędziu AI.

A kto powinien ponosić odpowiedzialność, jeśli AI sama podpisze dokument albo dokona zakupu? Co do zasady odpowiedzialność za to, co AI robi w naszym imieniu, ponosi człowiek, dla którego agent działał, bo sztuczna inteligencja nie jest osobą w świetle prawa. Moim zdaniem odpowiedzialność powinna iść za decyzją. Kto dał AI dostęp i zlecił zadanie, ten odpowiada za skutki; kto stworzył wadliwe narzędzie lub zabezpieczenie, odpowiada za wadę. AI nie jest pełnomocnikiem ani stroną umowy. Zamówienie z naszego konta jest naszym zamówieniem, a e-mail wysłany z naszej skrzynki nadal jest naszym mailem. Nie oznacza to, że użytkownik zawsze zostaje bez ochrony; np. bank co do zasady zwraca pieniądze za nieautoryzowaną płatność, choć jeśli sami udostępniliśmy AI dane karty czy bankowości cyfrowej, może się pojawić zarzut rażącego niedbalstwa. To obszar, którego sądy dopiero będą się uczyć.

A producenci oprogramowania i ich odpowiedzialność? Nowe unijne przepisy dotyczące odpowiedzialności za produkty wadliwe obejmują również oprogramowanie i AI, pozwalając dochodzić roszczeń za szkody spowodowane wadliwym systemem.

Czy oddanie kontroli AI nad naszym komputerem może paradoksalnie zwiększyć nasze bezpieczeństwo, np. przed phishingiem, oszustwami i cyberatakami?

Tak, ale tylko wtedy, gdy sprawdza za nas podejrzane e-maile, linki i faktury, a nie wtedy, gdy sama klika i płaci. Jako kontroler AI jest naprawdę dobra. Nie męczy się i nie pomija szczegółów. Może sprawdzić adres nadawcy, porównać link z prawdziwą stroną banku czy zauważyć, że numer konta na fakturze różni się od wcześniejszych. Google podaje, że zabezpieczenia Androida analizują miesięcznie ponad 10 mld podejrzanych połączeń i wiadomości, a OpenAI wykorzystuje dodatkowy model do wykrywania fałszywych stron logowania. Problem zaczyna się wtedy, gdy AI sama klika za nas. Badacze z ośrodka Guardio pokazali, że agent przeglądarkowy potrafił kupić zegarek w fałszywym sklepie, używając danych zapisanej karty, a także kliknąć link z fałszywego maila bankowego i pomóc w logowaniu do konta. Co więcej, AI wzmacnia także samych oszustów...

Jak to? W badaniu z 2026 r. e-maile phishingowe napisane przez AI skłoniły do kliknięcia 54 proc. badanych, tyle samo co wiadomości przygotowane przez specjalistów. CERT Polska (Computer Emergency Response Team, czyli Zespół Reagowania na Incydenty Bezpieczeństwa Komputerowego) odnotował w 2025 r. ponad 260 tys. incydentów, z czego 97 proc. stanowiły oszustwa komputerowe, i obserwuje kampanie tworzone z pomocą AI.

Czy potrzebujemy nowych zasad prawnych dotyczących AI, która może samodzielnie działać na komputerze użytkownika? Tak. Bo zgadzam się z Billem Gatesem, że samoregulacja branży nie wystarczy, a zabezpieczenia i nadzór powinny być obowiązkowe. W Europie część tych zasad już powstaje. AI Act nakłada obowiązki na twórców systemów AI, a w Polsce od 11 sierpnia obowiązuje ustawa o systemach sztucznej inteligencji. Otwarta pozostaje jednak kwestia szczegółowych zasad nadzoru nad AI, która samodzielnie wykonuje działania na naszych komputerach. To właśnie tutaj regulacje będą musiały nadążyć za technologią.

Czy człowiek będzie jeszcze potrzebny do obsługi komputera, czy wystarczy powiedzieć AI, czego chcemy? Tak, będzie potrzebny, tylko w innej roli. Człowiek przestaje być wykonawcą, a staje się tym, kto definiuje cel, ocenia jakość, podpisuje się pod wynikiem i bierze za niego odpowiedzialność. ©



Michał
Lidzbarski
założyciel Krajowego
Centrum Badań
Sztucznej Inteligencji

Świat

Uśmiezek Vučića

Ponad ćwierć wieku po tym, jak studenci obalili Slobodana Miloševicia, kolejna ich generacja zrobiła to samo z jednym z ostatnich jego epigonów – Aleksandarem Vučićem

Zwolennicy Listy Studenckiej celebrują wyborcze zwycięstwo. Belgrad, 26 października 2026 r.



FOT. ALEXANDER RYUMIN/ZUMA PRESS/FORUM

Mariusz

Janik

Niebo nad Belgradem zasnuwają graficzne chmury, lecz na ziemi jakby maj. Ledwie kilkadziesiąt godzin po głosowaniu przegranym przez partię Aleksandara Vučića, w Parku Pionierów, przed serbskim parlamentem, pojawiły się tłumy, by zlikwidować obozowisko zwolenników byłego prezydenta – Čačilandu, jak zgryźliwie nazywano zgromadzenie protestujących przeciw protestującym studentom.

Setki ludzi brodziły w porzuconych przez lojalistów śmieciach, przewracały porzucone namioty oraz bariery, czyściły dziecięce huśtawki, które przetrwały wielomiesięczny zlot lojalistów Vučića. – Wczoraj było zwycięstwo, dziś powiew wolności. Tkwimy w śmieciach, ale ten zapach to zapach wolności – skwitował w rozmowie z reporterem brytyjskiego „The Guardian” jeden z uczestników sprzątania w Parku Pionierów Radomir Dalić. – Zebranie się

w tym miejscu i oczyszczenie go, pokazuje, że chcemy żyć w spokoju – uzupełniała inna ze sprzątających Tamara Tomić. – Chcemy cieszyć się tym miastem, cieszyć się normalnym życiem, bez przemocy i znęcania się nad nami – kwitowała.

Ale wśród studentów są też bardziej krewcy. Część sprzątających Park Pionierów nie demontowała pozostałości po lojalistach Vučića, tylko puszczała je z dymem. Inni z kolei poszli pod Informer TV – telewizję, która wyrosła przy tabloidzie „Informer”. Nie ustalili

długo przed drzwiami: wpadli do środka, przerwali trwający program i otoczyli prowadzącego i właściciela stacji Dragana Vučićevicia, wykrzykując: „Tu jest teraz wolna Serbia!” i wzywając do aresztowania go. Nie to, żeby mu się nie należało – poza nagminnym publikowaniem fejków, bezkrytycznym poparciem ekipy prezydenta Vučića i powielaniem kremlowskiej propagandy dotyczącej wojny w Ukrainie, Informer TV nie wahała się pokazywać nagrań niektórych studentów (a zwłaszcza studentek) z ruchu protestujących, które można bez wahania uznać za revenge porn. Ludzi, którzy zginęli zaś w gruzach dworca w Nowym Sadzie – ta katastrofa była iskrą, która wywołała antyreżimowe protesty – Vučićević nazwał na antenie „rzekomymi ofiarami”.

Triumfujący demonstranci w końcu wyszli z Informer TV, lecz widać, że popierające poprzednią władzę media mogą być ich pierwszym celem: tego samego wieczora chcieli też wejść do studiów innej prorządowej (prywatnej) stacji Pink TV.

Jednocześnie ruch wydał też oświadczenie dotyczące mediów publicznych. „Domagamy się dymisji dyrektora generalnego RTS (serbski publiczny nadawca telewizyjno-radiowy – red.), jego zastępcy, redaktorów naczelnych odpowiedzialnych za programy informacyjne oraz wszystkich ich wydawców” – napisali autorzy oświadczenia. „Uważamy za szczególnie nieakceptowalne bezkrytyczne powielanie obraźliwych komentarzy i wiadomości krytykujących studentów i innych obywateli za ich poglądy” – wyjaśniali. W niedzielę wieczór wyborczy zakończył się raptownie tuż po tym, jak Aleksandar Vučić przyznał się do porażki.

Dwanaście lat chudych

W ostatnią niedzielę nie odbyły się wybory prezydenckie, lecz parlamentarne. Miały one jednak wyjątkowo charakter – we wrześniu Vučić zrezygnował ze stanowiska, co oznaczało, że jego partyną podwładna i zarazem szefowa parlamentu Ana Brnabić została p.o. prezydentem. Ale zapewne i jej dni są policzone: w niedzielnych wyborach Lista Studencka – pod takim szyldem startowało studenckie ugrupowanie – zdobyła 53,5 proc. głosów. Lista AV-US, Aleksandar Vučić-Zjednoczona Serbia, koalicja, za którą kryje się przede wszystkim Serbska Partia Postępowa (SNS), uzyskała 39,64 proc. głosów. Reszta miejsc w Skupstini nie to fotele zajęte przez przedstawicieli mniejszości narodowych.

Vučićowi łatwo było pożegnać się z władzą: ma już za sobą dwie kadencje w fotelu prezydenta (od 2017 r. do września 2026 r.), na trzecią nie mógł startować. Spekulowano, że przygotowuje przebudowę systemu politycznego tak, by realne kompetencje znalazły się w rękach premiera – wtedy mógłby powrócić na to stanowisko (piastował je w latach 2014–2017). Fala protestów, która zaczęła się po katastrofie w Nowym Sadzie, okazała się jednak zaskakująco wysoka, a przede wszystkim – trwała. Od zawalenia się dworca upłynęły niemal dwa lata, a pomimo wylewającej się z prorządowych ➤

mediów zacieklej propagandy, zatrudnienia do walki z przeciwnikami piłkarskich klubowych bojówek i ludzi z półświatka oraz mobilizacji elektoratu Serbskiej Partii Postępowej, wściekłość zwykłych Serbów nie opadała. Najwyraźniej kilka tygodni temu Vučić zagrał *va banque*: zanim przygotował sobie wygodną przesiadkę do nowego-starego fotela, musiał ustąpić przed naporem studentów i ogłosić wybory. Dziennik „The Times” twierdzi, że był gotowy zachować władzę za pomocą siły, ale w rozmowach z „przedstawicielami europejskich rządów” odwiedziono go od tego pomysłu.

Być może względnie szybkie i gładkie przyznanie się do wyborczej porażki wynika z innej kalkulacji: adwersarzem SNS jest gigantyczna koalicja rozmaitych politycznych debutantów, z niewielką domieszką polityków ugrupowań demokratycznych z poprzednich dekad, którym jeszcze ostało się nieco siły i odwagi do politycznej działalności. Wystarczy poczekać, aż sami się podłożą – atak na wizji na Informer TV może być dla wielu widzów szokujący, a pewnie nie będzie to ostatni przypadek „ręcznego” rozwiązania problemów piętrzących się od lat. Części aktywistów za jakiś czas pewnie się znudzi, inni się pokłócą o stanowiska albo o kierunek, w jakim chcieliby pociągnąć kraj. Jeden czy drugi skusi się za jakiś czas na łapówkę, inny narozrabia po pijaku. Wystarczy czekać, żeby za kilka tygodni, miesięcy czy za rok zacząć powtarzać „za naszych czasów to było, a teraz nie jest”.

Bo też niewątpliwie najważniejszym atutem Listy Studenckiej i stojącej za nią społeczności aktywistów jest świeża pamięć 12 lat rządów Vučića – na stanowiskach premiera i prezydenta – plus jeszcze dwóch, kiedy rządziła już SNS, ale Vučić dopiero piął się w niej do pozycji lidera. To niemal półtorej dekady odwrótu od proeuropejskiego kursu, poszukiwania politycznego patronatu w Moskwie i Pekinie, stopniowej kolonizacji instytucji publicznych (z których media są tylko jaskrawym przykładem) przez twardej lojalistów partii, serii skandali, w których nazwisko Vučića łączone jest z gangsterami naddunajskiego półświatka, strumieni pogardliwych i prymitywnych wyzisk, jakimi przedstawiciele władz w Belgradzie opisywali adwersarzy, chronicznej urzędniczej nieudolności i spadków we wszystkich rankingach tego czy owego. Nawet wielu z tych, którzy lubią „decyzyjnych” polityków, miało już dość triumfalnych uśmieszków prezydenta, zwłaszcza po zderzeniu z machiną państwa.

Nowa ekipa może z czasem wskoczyć w te same koleiny, ale na razie stara się czujnie reagować na wydarzenia. – Prosimy, żebyście zachowali spokój i godność do czasu zakończenia procesu wyborczego, tak jak robiliście to dotychczas – zaapelował na swoim profilu na Instagramie Ilija Srdanović, jeden z liderów Listy Studenckiej, po rozrobie w stacji Informer TV. – Nie stosujcie przemocy. Wasza Lista Studencka i wasz ruch studencki uprasza was o to – mówił w umieszczonym na profilu klipie wideo.

Wojowniczy kardiolog

To właśnie Ilija Srdanović uchodzi za najważniejszego kandydata studentów na któreś z najważniejszych stanowisk w państwie. Nie ma wielkiej konkurencji, rozpoznawalne na świecie nazwiska związane z ruchem to krótka lista: był szef banku centralnego Dejan Šoškić, aktor Tihomir Stanić (polscy kinomani mogą go pamiętać z filmu „Tournée”, kilkanaście lat temu kandydata do Oscara) czy były koszykarz Dejan Bodiroga. Ale z perspektywy przeciętnego obywatela Serbii ta lista obejmuje jednak wiele nazwisk – bowiem studenci, formułując Listę Studencką, nie wystawiali własnych kandydatur. Zamiast tego zgromadzenia studenckie na różnych uczelniach wskazywały swoich kandydatów na listy wyborcze: zwykle osoby ze świata sportu, kultury, nauki. Zebrało się 250 kandydatów: z nich 134 miały tytuł doktorski, 44 proc. to kobiety. Do parlamentu wejście z tej listy 141 osób.

Srdanović pod wieloma względami różni się od innych. Ten 56-letni kardiolog z Nowego Sadu jest z protestującymi praktycznie od samego początku i występował na wiecach, jeszcze zanim zaczęli na nie przychodzić opozycjoniści starej daty, widzący w studenckim ruchu szansę na powrót do gry, czy celebryci, którzy ośmielili się zademonstrować antyrządowe poglądy dopiero na wezbranej już fali.

Na wywiad z BBC Srdanović podjechał motocyklem, w stosownym do tego środka transportu uniformie, za to bez obstawy, która pilnowałaby jego bezpieczeństwa. I, zgodnie ze standardem sprawującym się do walenia wprost i twardo, Srdanović lubi wyrażać się dosadnie. – Właściwie całe życie jestem żołnierzem – tłumaczył przed wyborami w programie „Da sam ja neko”. – Tradycyjnym, z bronią w rękę, zrekrutowanym w czasie wojny. Potem żołnierzem mojego zawodu, w którym walczę o ludzkie życie, jak wszyscy moi koledzy i ja u ich boku. I wreszcie jestem żołnierzem, który walczy o lepsze jutro dla tego narodu. Tak wygląda patriotyzm według mnie: walka o lepsze jutro dla kraju. Walka o wolność – perorował.

Polem bitwy był przede wszystkim Nowy Sad. – Vučić doskonale wie, że jest persona non grata w tym mieście – skwitował tuż przed wyborami. – Czy sprawcy (zawalenia się dworca – red.) zostali ukarani, czy instytucje odpowiedziały? Studenci żądali od nich odpowiedzi, i co dostali? Odpowiedź państwa brzmiała: nie, nie było żadnych sprawców. Oni nie znajdują sprawców. A wiecie dlaczego? Bo oni sami są najbardziej odpowiedzialni za to, co się stało. Szukamy sposobu wyjścia z tej sytuacji przez generację młodych ludzi, którzy chcą zmienić ten kraj i sprawić, by był lepszy. I oni już sprawili, że jest on lepszy – dowodził, może nieco chaotycznie, podczas innego wieceu.

Lista Studencka nie przedstawiała długiego programu. To 11 punktów, które sprowadzają się do rozliczenia osób odpowiedzialnych za katastrofę w Nowym Sadzie, a także za układ biznesowo-polityczny, który do niej doprowadził; rozliczenia polityków i funkcjonariuszy odpowiedzialnych za niemal dwuletnią kampanię nękania studentów i aktywistów z nimi związanych, za napaści,

prześladowanie i próby zastraszenia; rozliczenia ludzi mediów – od tych publicznych poczynając, a na służalczo podporządkowanych prywatnych kończąc; a wreszcie, rozliczenia – a w zasadzie zlikwidowania – praktyki sprowadzającej się do zatrudniania w przedsiębiorstwach państwowych osób z partii rządzącej (czy też partii w ogóle).

Brzmi trywialnie, ale za lapidarnie ujętym programem wyborczym kryje się więcej treści, niż to na pozór wygląda. „Przez prawie dwa lata studenci dyskutowali na temat niemal każdego aspektu serbskiej gospodarki i społeczeństwa, od kopalni litu i wydobywania surowców po gospodarczą siłę lokalnych oligarchów, a także na temat służby zdrowia czy edukacji” – pisze na łamach „The Guardian” Aleksandar Matković, ekonomista i historyk, badacz z Instytutu Nauk Środowiskowych i Technologii w Barcelonie oraz ekspert Transnational Institute w Amsterdamie. Matković był świadkiem narodzin ruchu studenckiego, gdy po pierwszych demonstracjach w sprawie wyjaśnienia tragedii w Nowym Sadzie rząd zaczął wprowadzać blokady uczelni wyższych i uniemożliwiać prowadzenie zajęć, gdzieś na przełomie 2024 r. i 2025 r. „Niektóre z tych dyskusji potrafiły trwać po sześć godzin. Wszystko to działało się, zanim studenci sformułowali zręby swojego programu czy organizację zdolną rywalizować z tradycyjnymi partiami. W tym przypadku wiedza była najpierw, w ślad za nią zrodziła się organizacja” – twierdzi.

Matković nazywa ją „bezprecedensowym, pozbawionym przywódców ruchem, który pokonał tradycyjne partie” i wskazuje, że serbscy studenci mogą do pewnego stopnia zainspirować buntujących się właśnie rówieśników z Francji, Hiszpanii, Belgii czy Albanii. Jakimś cudem zapomina, że precedens, a i owszem, był.

Studenckie wzloty i upadki

„Organizacja powinna obywać się bez lidera – w tym właśnie tkwi jej siła. (...) Serbska policja nie była w stanie pojąć, że można sobie dać radę bez przywódcy, taka struktura doprowadzała ich do szaleństwa” – opowiada Aleksandar Marić, jeden z liderów studenckiego ruchu Otpor (Opór) w Nowym Sadzie. Otpor, jako grono współpracujących studentów, zrodził się na fali protestów w Europie Środkowo-Wschodniej w latach 1996–1997, które w końcu dotarły i do Serbii. Nawzajem, formułę działania i załączki programu obrano w 1998 r. I do wyborów prezydenckich w Serbii, we wrześniu 2000 r., Otpor liczył już 70 tys. członków w 130 lokalnych strukturach.

Protesty, happeningi, wojownicze kampanie połączone, paradoksalnie, z nawoływaniem do „oporu bez przemocy” utorowały drogę serbskiej opozycji do obalenia reżimu wkrótce po sfałszowanym głosowaniu. Owszem, w decydujących godzinach „rewolucji 5 października” to politycy opozycji dobili targu z przedstawicielami służb mundurowych, którzy zaniechali bronięcia chwiałej się dyktatury Sloboda-

na Miloševicia – ale fundamentem tych układów była gigantyczna społeczna energia, którą zbudował Otpor. Ba, najważniejsi aktywiści ruchu w kolejnych latach rozjechali się po świecie, a ich metody – czasem symbolikę – stosowano z większym (Gruzja, Ukraina, Kirgistan) lub mniejszym (Białoruś, Kuba, Liban, Wenezuela) sukcesem na całym świecie.

Tyle że na rodzimym gruncie Otpor poległ. Poparty przez ruch kontrkandydat Miloševicia, prawnik i historyk Vojislav Koštunica, wkrótce po objęciu stanowiska prezydenta zaczął walczyć z proeuropejską, bardziej skłoną do ustępstw, np. w sprawie Kosowa, częścią dawnej antyreżimowej opozycji. Na czołową siłę polityczną wyrosła Partia Demokratyczna, która obrała kurs na Europę, ale studentami z Otporu już się za bardzo nie przejmowała. „Założyciele ruchu próbowali przekształcić go w partię. Zamiarem było stworzenie nowoczesnego ugrupowania o orientacji socjaldemokratycznej” – pisał Viatcheslav Avioustskii w książce „Aksamitne rewolucje”. Tymczasem w wyborach parlamentarnych Otpor poniósł porażkę, zdobywając zaledwie 1,6 proc. głosów – kwitował.

Można się spierać, co zniszczyło popularność ruchu. Dla jednych nie był profesjonalną partią, dla innych profesjonalnych partii (również tych, które weszły na scenę dzięki studentom) był rywalem w walce o głosy, inni widzieli w nim polityczny performans, a niegdyśiejsi liderzy Otporu rozproszyli się po świecie, popularyzując swój know how.

Czy twórcy Listy Studenckiej w czasie swoich dyskusji omawiali losy Otporu – tego nie wiemy. Ich krótkoterminowe cele są jasne. Ale czy ich triumf to „świt nowego dnia dla Bałkanów” (jak sugeruje ekspert londyńskiego Królewskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych Grégoire Roos), to inna sprawa. Na razie wydaje się, że w kluczowych dla Europy sprawach rewolucji nie będzie. Studenci kilkakrotnie potwierdzali, że w sprawie Kosowa stoją na stanowisku, że to „serce Serbii”, a w poniedziałek jeden z przedstawicieli ruchu oświadczył, że polityka Serbii wobec Rosji pozostanie bez zmian – czyli bliski sojusz. To zresztą naturalne, bo zaplecze ruchu są aktywiści i sympatycy z całego spektrum, od proeuropejskich liberałów po zatwardziały nacjonalistów spod znaku Wielkiej Serbii.

Utrzymanie tego zlepkę przeciwności może wymagać wielu szpagatów i ostatecznie być wyzwaniem ponad studenckie siły. „Co przywiodło ich tak daleko, dalej ich już nie powiedzie” – konkluduje Roos. „Zdecentralizowana organizacja pomogła ruchowi przetrwać się z lokalnego protestu w masowy ogólnokrajowy ruch. Rządzenie będzie jednak wymagać czegoś innego: klarownego przywództwa i kolektywnej dyscypliny” – dodaje. Uśmieszek Vučića może jeszcze długo prześladować Serbów.

©©



Więcej tekstów
tego autora:
skanuj
kod!
DGP.pl



FOT. ODED BALILTYAP/EAST NEWS

Billboardy lidera opozycji
Gadiego Eisenkota i premiera
Binjamina Netanjah.
Ramat Gan,
18 października 2026 r.

Uznany za ekstremistę

My, Palestyńczycy, mamy niewiele możliwości. Możemy wyjechać. Możemy się poddać i uznać, że cały świat nas zawiódł. Możemy zaakceptować własną niższość lub po prostu zapomnieć. Ale możemy też spróbować coś zrobić. Życie przecież toczy się dalej, polityka również

Z Samim Abu

Shehadehem

rozmawia w Tel Awiwie Karolina Wójcicka

Po co panu, Palestyńczykowi, izraelska polityka? Niestety, większość świata nie wie o istnieniu 2 mln Palestyńczyków mających izraelskie obywatelstwo. To bardzo skomplikowana kwestia – to nie my wyemigrowaliśmy do Izraela, lecz Izrael przyszedł do nas. Jesteśmy rdzenną ludnością tej części świata. Państwo Izrael powstało na gruzach naszego narodu i naszej państwowości. Wystarczy wspomnieć, że rozmawiamy dziś w Jafie, która przed wojną w 1948 r. była najważniejszym palestyńskim miastem. Zgodnie z rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ nr 181 w sprawie podziału Palestyny Jafa miała należeć do państwa palestyńskiego. Tak się jednak nie stało. Zamiast tego część

z nas włączono do Izraela. Stanowimy ok. 20 proc. ludności tego kraju. I niezależnie od tego, kto sprawuje władzę, traktuje on nas jak obywateli drugiej lub trzeciej kategorii. Albo jak wrogów.

Wspólna Lista, którą pan reprezentuje, mówi, że to apartheid. Kiedy żyjesz w systemie politycznym, który nie traktuje wszystkich obywateli na równi, uciska część ludności lub odbiera jej prawa, masz do czynienia z państwem apartheidu.

W przeciwieństwie do Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu czy Strefy Gazy, ci z izraelskim paszportem głosują w wyborach, a nawet w nich startują. Gdzie zatem ten apartheid? Nie trzeba czytać książek, by to dostrzec. Wystarczy wsiąść do samochodu i przejechać się po Izraelu. Społeczeństwo jest zbudowane na segregacji rasowej. Nie wiem, czy

ludzie za granicą zdają sobie sprawę z tego prostego faktu, że w Izraelu są miasta, wsie i dzielnice zamieszkałe wyłącznie przez ludność arabską oraz takie, w których mieszkają wyłącznie Żydzi. 90 proc. ludności żyje na odrębnych obszarach. Jeśli przejedziesz samochodem z dowolnego arabskiego miasta lub dzielnicy do sąsiadującego z nim żydowskiego miasteczka, zobaczysz różnice.

Na przykład? Wczoraj prowadziłem kampanię wyborczą w położonym niedaleko stąd moim rodzinnym mieście Lod. Dawniej było to ważne, historyczne miasto palestyńskie. Dziś Lod liczy niemal 100 tys. mieszkańców i jest miastem mieszanym, w którym obok siebie żyją Arabowie i Żydzi. Zdecydowana większość arabskich dzielnic nie ma regularnych dostaw prądu ani wody. W 2026 r.! Brakuje też odpowiedniej infrastruktury. Jeśli nie masz

dobrego samochodu terenowego, nie dojedziesz do własnego domu. A po drodze będziesz musiał przejechać przez żydowską dzielnicę.

Tam jest lepiej? Tak. Od 1948 r. w Lodzie rządzą Żydzi. Są burmistrzami, dyrektorami miejskich instytucji, inżynierami i urbanistami. Planowali rozwój miasta zarówno dla Arabów, jak i dla Żydów. Rezultaty widać gołym okiem. Proszę też zwrócić uwagę na stacje kolejowe. W Izraelu są ich dziesiątki, ale żadna nie znajduje się w arabskim mieście ani w arabskiej wsi. Rasizm sprawia, że ludzie stają się ślepi. Jeśli, nie daj Boże, znajdziesz się w arabskim mieście i będziesz potrzebować szpitala, nie znajdziesz go tam. Musisz pojechać do najbliższego żydowskiego miasta. Wszyscy są do tego przyzwyczajeni, wydaje im się to normalne. Od powstania Izraela władze zbudowały ponad 30 dużych szpitali. Ani jeden nie mieści się w arabskim mieście. I to też wydaje się normalne, prawda?

Czy to właśnie dlatego zaangażował się pan w politykę? Pochodzę ze społeczności, która była bardzo zmarginalizowana. Urodziłem się w 1975 r. w dzielnicy Railway ➤

Station w Łodzi. W tamtym czasie była ona prawdopodobnie jednym z najuboższych miejsc w kraju. Panowały tam przestępczość, narkomania i przemoc. Warunki życia były bardzo trudne. Jako dziecko myślałem, że całe państwo jest biedne i wszyscy, w mniejszym lub większym stopniu, zmagają się z kradzieżami i ubóstwem. Z czasem zacząłem dostrzegać, że niemal pod każdym względem moje życie różni się od życia moich żydowskich sąsiadów. W Łodzi nie było dobrych szkół dla arabskich dzieci. Mój ojciec był technikiem zajmującym się kotłami do podgrzewania wody, a matka niezwykle utalentowaną krawcową. Ponieważ ciężko pracowali, posłali nas do szkół w innych miastach. Najpierw uczyłem się w szkole prowadzonej przez Kościół w pobliskiej Ramli, a później w prywatnej szkole katolickiej w Jafie. Różnice między Arabami a Żydami były ogromne. Dopiero gdy w połowie lat 90. rozpocząłem studia na Uniwersytecie w Tel Awiwie, zacząłem krytycznie się przyglądać tej rzeczywistości i analizować ją z politycznej perspektywy.

Izraelczycy podają przykład Palestyńczyków studiujących na izraelskich uniwersytetach jako dowód na to, że w kraju nie ma apartheidu.

Izraelczycy użyją każdego przykładu, który im pasuje, by uzasadnić dowolną tezę. Każdy, kto zna historię Uniwersytetu w Tel Awiwie, wie, że uczelnia ta powstała na ruinach palestyńskiej wsi, która istniała przed 1948 r. Do dziś uniwersytet wykorzystuje domy należące niegdyś do zamożnych Palestyńczyków. Nie wspomina o tym ani słowa, przemilcza historię tego miejsca. Pierwszą rzeczą, którą zauważasz na uniwersytecie, jest to, że wszyscy twoi koledzy są żołnierzami. Studiowałem historię Bliskiego Wschodu i nauki polityczne. Wielu moich kolegów służyło w armii albo rozpoczęło karierę w Szin Bet, służbie bezpieczeństwa wewnętrznej. Przyjmowano na studia Arabów nie po to, by nas poznać, lecz ze względów wywiadowczych. Później niektórzy dawni koledzy przesłuchiwali mnie w ramach różnych nielegalnych postępowań dotyczących bezpieczeństwa. Również wszyscy profesowie służyli w wojsku. Było zupełnie normalne, gdy któryś opowiadał na zajęciach o doświadczeniach z armii, o tym, jak walczył z Arabami.

Jak pan na to reagował? Musiałem sobie jakoś radzić. Nie mogłem tego krytykować. Pamiętam, że na drugim roku mieliśmy seminarium z ekonomii politycznej. Prowadził je profesor o bardzo prawicowych, wręcz skrajnie prawicowych poglądach. Podczas jednej z dyskusji zapytał studentów, dlaczego tak bardzo interesują ich kwestie bezpieczeństwa. Odpowiedzieli, że szaleje przemoc, wybuchają wojny i trzeba to zakończyć. Profesor powiedział wtedy, że wszyscy wciskają im kit. Dopóki izraelska armia ma więcej pocisków, niż jest Palestyńczyków, Izrael nie ma problemu z bezpieczeństwem. Pomyślałem, że to wyjątkowo obrzydliwe i rasistow-

Nie możemy być częścią władzy, która okupuje nasz naród. Nie chcemy ponosić odpowiedzialności za zabijanie naszych ludzi

skie. Czekałem na reakcję kolegów, ale nikt się nie odezwał. Po zajęciach poszedłem do kierownika katedry nauk politycznych i powiedziałem mu to, co usłyszałem. Odpowiedział: „Wiesz, Sami, jesteśmy na uczelni. Ludzie mają wolność słowa. Mamy też skrajnych lewicowców, którzy mówią niewygodne rzeczy”. Ja na to: „Tak, ale to nie jest wolność słowa. On mówił, że można zabić wszystkich Palestyńczyków”. Zapytałem, co by się stało, gdyby to ja został kiedyś wykładowcą nauk politycznych na tej uczelni i powiedział dokładnie to samo, tylko odnosząc te słowa do drugiej strony. Nie otrzymałem odpowiedzi.

Władze Izraela zmusiły pana do rezygnacji ze startu w wyborach. Każdego dnia ostrzegają też przed niebezpieczeństwem, jakim byłoby wejście partii arabskich do nowego rządu. Mimo to nie rezygnuje pan z działalności politycznej. Nie czuje się pan upokorzony?

Politykowi nie wypada mówić czegoś takiego, ale tak: jest to upokarzające, frustrujące i nieludzkie. Szczególnie gdy twoim głównym celem politycznym jest próba otwarcia przed ludźmi zupełnie nowej perspektywy. Nasz program opiera się na wolności, sprawiedliwości i równości dla wszystkich, zarówno dla Żydów, jak i Arabów. Chcemy zagwarantować obu narodom prawa zbiorowe i indywidualne, na całym obszarze między rzeką a morzem. Mówimy o pokoju, historycznym kompromisie i zakończeniu konfliktu. Tymczasem program zdecydowanej większości opiera się na kolejnych wojnach, większej przemocy, zemście, rozlewie krwi, ludobójstwie, czystkach etnicznych i okupacji. Ci szaleni faszyci są uznawani za pełnoprawnych uczestników debaty, a nawet za normalnych, umiarkowanych polityków. Ja z kolei jestem uznawany za ekstremistę. Człowiek, który opowiada się za pokojem, sprawiedliwością i równością dla wszystkich. Dlatego nieustannie zadaje sobie pytanie: po co właściwie zajmują się polityką?

Jak może się pan zajmować polityką, skoro nikt pana nie akceptuje? Nawet Ja'ir Golan, polityk lewicy, która powinna okazywać poparcie partiom arabskim, opowiedział się za pana wykluczeniem.

Świat jest okrutny. Jednym z przejawów tego okrucieństwa jest to, że nigdy się ono nie kończy. A my, Palestyńczycy, musimy żyć dalej, nawet po ludobójstwie. To jeden z najmroczniejszych okresów w naszej historii. Mamy niewiele możliwości. Możemy wyjechać. Możemy się poddać, uznać, że cały świat nas zawiódł, że ludzkość beczynnie przyglądała się ludobój-

stwu. Możemy zaakceptować własną niższość. Powiedzieć sobie: „Próbowaliśmy już wszystkiego. Układ sił jest zdecydowanie przeciwko nam. Zaakceptujmy więc wszystkie ich warunki”. Możemy przestać dążyć do równości i sprawiedliwości. Pogodzić się z tym, że jesteśmy gorsi. Zaakceptować okupację i czystki etniczne. Udawać, że tego wszystkiego nie ma lub po prostu o tym zapomnieć. Możemy też spróbować coś zrobić. Każda decyzja ma swoją cenę. Życie toczy się dalej, polityka również. Jeśli wycofasz się z tej gry, ona wcale się nie zatrzyma. To nie jest tak, że jeśli odejdziesz, to polityka przestanie wpływać na twoje życie. Będzie nadal to robić, tylko bez twojego udziału.

To co dalej?

Wybieramy między złym a jeszcze gorszym rozwiązaniem. Polityka zawsze staje się kwestią moralną, kiedy stawką jest ograniczenie cierpienia i bólu. Musimy wybierać między Eisenkodem a Netanjahu. Netanjahu i jego obóz mówią wprost, że chcą kontynuować ludobójstwo, jeśli utrzymają władzę. To nie są nasze domysły ani nasza polityczna interpretacja. Oni sami to deklarują. Ben-Gwir twierdzi, że Trump zgadza się na wysiedlenie mieszkańców Strefy Gazy i że trzeba to przeprowadzić, zanim obecny prezydent USA odejdzie z urzędu. Smotricz chce tam budować żydowskie osiedla. Naszą historyczną misją jest teraz powstrzymanie rozlewu krwi naszego narodu. Chciałbym móc zrobić dużo więcej. Nie wie pani, jak bardzo boli mnie to jako polityka. W ostatnich latach nie byłem w stanie oglądać wiadomości, bo musiałem zachować choć odrobinę sił psychicznych, żeby móc wstać z łóżka i cokolwiek zrobić. Kilka razy zupełnie się załamałem. Zaczynałem zadawać sobie egzystencjalne pytania: po co mi ta cała polityka? To wszystko nie ma sensu. Na początku znacznie intensywniej śledziłem wiadomości, bo czułem, że to niesprawiedliwe, iż moja rodzina i moi rodacy w Strefie Gazy codziennie cierpią z powodu ludobójstwa. Jednocześnie powtarzałem sobie, że nie jestem już w stanie tego oglądać. W pewnym sensie stało się to formą masochizmu. Pamiętam historię pewnego chłopca, może dziesięcioletniego. Został wypędzony z miejsca, w którym mieszkał. Wędrował z jednego obozu do drugiego, niosąc na plecach bardzo ciężki worek. Jeden z pracowników obozu chciał mu pomóc. Powiedział: „Nie martw się, pomogę ci nieść ten worek. Jest dla ciebie za ciężki”. Chłopiec odmówił. Nie chciał oddać worka. Dopiero później mężczyzna odkrył, że dziecko niesie w nim szczątki swojego brata. Czekano na choćby kilka minut bez bombardowań, żeby móc go pochować. Ta historia sprawiła, że przez kilka dni nie byłem w stanie normalnie funk-

cjonować. Czułem się całkowicie bezradny, sfrustrowany i niezdolny do jakiegokolwiek działania. Dla nas, mieszkańców Jafy, ta wojna była szczególnie bolesna. W 1948 r. Izraelczycy wypędzili jego mieszkańców. Ci, którzy uciekli na północ, trafili do Libanu. Ci, którzy udali się na południe, znaleźli się w Strefie Gazy. Każda arabska rodzina z Jafy ma krewnych w Strefie Gazy. Jestem przywódcą politycznym, więc ludzie myślą, że mogę zrobić więcej. Błagam mnie, żebym pomógł ich rodzinom. I każdego dnia czuję się bezradny. Pytają mnie: „Czy nie możesz chociaż zdobyć jedzenia dla niemowląt? Samego mleka”. A ja nie jestem w stanie im pomóc. Codziennie, naprawdę codziennie, ktoś opowiada mi niewyobraźalną historię. Ludzie zatrzymują mnie na ulicy i opowiadają o tym, przez co przechodzą, próbując po prostu żyć dalej.

Wierzy pan, że jeśli władzę przejmie opozycja, cokolwiek się zmieni?

Oczywiście, że nie. Nie chcę robić ludziom złudnych nadziei. Wiem, jak bardzo nasza wizja odbiega od obecnej rzeczywistości. Niezależnie od tego, czy mówimy o obozie Netanjahu, czy o jego przeciwnikach, wybór sprowadza się do ludobójstwa albo apartheidu. Nie ma dobrych opcji. Walczymy o inne państwo i społeczeństwo. Niestety, wśród Żydów wciąż zbyt mało osób popiera naszą wizję. To dla mnie bardzo bolesne. Ale w polityce jest się z myślą o przyszłości. Właśnie dlatego działamy.

Jak dotychczas wyglądała wasza działalność polityczna?

Od powstania państwa Izrael było 25 różnych rządów. Tworzyło je łącznie może z 600 ministrów. Ilu było wśród nich Arabów? Jeden. Przez krótki czas. Był ministrem sportu. W Izraelu jest wiele uniwersytetów, ale żaden Arab nie pełnił funkcji rektora. Nie ma też ani jednego Araba na czele ważnego banku. W komisjach odpowiedzialnych za planowanie budownictwa mieszkaniowego większość mają Żydzi, również w tych, które zajmują się obszarami zamieszkаныmi głównie przez Arabów. Dzieją się tu absurdalne rzeczy. Izrael, używając kolonialnego języka, stworzył kilka lat temu instytucję o nazwie Urząd ds. Rozwoju Beduinów. Tyle że nie ma w nim żadnych Beduinów.

Czy Palestyńczycy powinni zasiadać w izraelskich instytucjach? Przecież z waszej perspektywy to współpraca z okupantem.

Kiedy skończy pani pracę w gazecie, może wstąpić do naszej partii. Pyta pani o wszystkie sprawy, o które sami nieustannie się spieramy. Czy powinniśmy w ogóle iść do tego cholernego Knesetu, czy nie? Jakie mamy możliwości, jeśli zaoferują nam stanowiska? Czy powinniśmy je przyjąć? Od początku mówimy, że jesteśmy przeciwni wchodzeniu do rządu. Nie możemy być częścią władzy, która okupuje nasz naród. Nie chcemy ponosić odpowiedzialności za

WYWIAD

zabijanie naszych ludzi. Nie chcemy odpowiadać za okupację naszych ziem ani za rasistowskie działania, które państwo podejmuje przeciwko nam. Jesteśmy jednak w pułapce. Jeśli nie proponujemy naszym ludziom alternatywy, zostawimy ich na pastwę partii syjonistycznych. Jeśli zrozumiesz, że Izrael nie jest normalnym państwem, zrozumiesz też, że nie da się tu uprawiać normalnej polityki. Wszystko jest bardziej skomplikowane. Od początku mówimy więc naszym ludziom, że biegniemy maraton.

Co znajduje się na mecie?

Nasza wizja, która oczywiście jest uznawana przez izraelskie społeczeństwo za skrajną, zakłada przekształcenie Izraela w normalną demokrację. Nazywamy to państwem wszystkich jego obywateli. Nie państwem żydowskim, nie arabskim, nie muzułmańskim ani chrześcijańskim, lecz państwem wszystkich obywateli. Takim, które traktowałoby na równi wszystkie osoby i grupy żyjące na jego terytorium.

Obejmowałoby także Zachodni Brzeg i Strefę Gazy?

W tym miejscu zaczyna się dyskusja o tym, jakie powinny być ramy politycznego rozwiązania. Wiem, że przez ostatnie 30 lat odbyła się niezliczona liczba debat, powstało mnóstwo artykułów i książek, a także toczyły się spory o to, czy należy dążyć do roz-

wiązania dwupaństwowego, jednego państwa, państwa dwunarodowego, konfederacji czy federacji. Przedstawie teraz mój osobisty pogląd: mnie to po prostu nie obchodzi. Najważniejsze w polityce jest to, żeby służyć ludziom. Akceptuję każde rozwiązanie polityczne, które zagwarantuje obu stronom ich prawa zbiorowe i indywidualne. Może to być rozwiązanie jedno- lub dwupaństwowe, oparte na nacjonalizmie, konfederacji, federacji, a nawet rozwiązanie zakładające istnienie 30 państw czy zjednoczenie całego świata arabskiego. Z mojego punktu widzenia to kwestia drugorzędna.

Zostańmy przy wizji jednego państwa. Czy byłby pan skłonny zrezygnować z odrębnego państwa palestyńskiego? Zaakceptuje pan Izrael, jeśli będzie demokratycznym państwem dla wszystkich?

Dlaczego miałyby to być państwo o nazwie Palestyna albo Izrael? Dlaczego nie możemy stworzyć rozwiązania, które gwarantowałoby szacunek i prawa obu stronom? Co nas przed tym powstrzymuje? Jedyne rasizm. Jeśli uda nam się wyeliminować rasistowskie elementy projektu syjonistycznego, możemy zbudować tutaj wspaniałe miejsce do życia. Problem polega na tym, że ludzie przyzwyczaili się do przemocy, wojen i zemsty, a strach przejął kontrolę nad umysłami. Dlatego nikt nikomu nie ufa. Nikt też nie

wierzy, że pokój jest w ogóle możliwy. Kilka tygodni temu uczestniczyłem w Tel Awiwie w wiecu wyborczym w języku hebrajskim, zorganizowanym na rzecz Wspólnej Listy. Poruszyliśmy właśnie tę kwestię. Powiedziałem zgromadzonym, że większość ludzi urodziła się w czasie wojny i dlatego nie potrafi sobie wyobrazić pokoju. Zaczęli traktować ją jak normalne życie. Powiedziałem im, że może powinniśmy pomóc ludziom wyobrazić sobie pokój. Pokazać im, jak mogłby wyglądać. Zaproponowałem nagranie filmu o Palestyńczyku, który wsiada do samochodu w Ramallah i jedzie do Tel Awiwu po swojego chłopaka lub dziewczynę. Rano jadą razem na śniadanie do Libanu, na lunch do Syrii, a wieczorem spierają się o to, czy zjeść kolację w Jordanii, czy w Iraku. Wieczorem odezwał się do mnie jeden z organizatorów kampanii i zapytał: „Sammy, co to za szalony pomysł z tym filmem?”. A przecież to realistyczna wizja. Oni jednak uznali, że to absurdalne. Stwierdzili, że nie możemy nakręcić takiego filmu, bo ludzie wysmiałiby mnie i całą kampanię. W tej części świata mówienie o pokoju wydaje się tak odległe od rzeczywistości, że brzmi wręcz niedorzecznie i głupio. Tymczasem oczekiwanie, że w każdej chwili może wybuchnąć kolejna wojna, uchodzi za coś normalnego.

Ale przecież chodzi nie tylko o wojnę i niechęć Izraelczy-

ków. Wczoraj byłam w Ramallah i rozmawiałam z Palestynką, która powiedziała mi: „Nie możemy żyć razem. Izraelczycy muszą wyjechać”.

Często spotykam się z tym problemem, gdy rozmawiam z Palestyńczykami. Zawsze mówię im wtedy: jeśli wierzycie w prawa człowieka, pamiętajcie, że są one uniwersalne. Nie da się znaleźć rozwiązania tylko dla jednej strony. Jeśli wasze podejście opiera się na idei praw człowieka, wasze rozwiązanie polityczne musi uwzględniać obie strony. Być może jednym z największych błędów, jakie popełniono, było to, że syjonizm zastanawiał się wyłącznie nad tym, jak rozwiązać problem Żydów, a palestyński ruch narodowy skupiał się wyłącznie na tym, jak służyć narodowi palestyńskiemu. Jeśli chcemy osiągnąć sprawiedliwy pokój, nasze rozwiązanie polityczne musi odpowiadać na oba problemy: zarówno kwestię żydowską, jak i palestyńską. W przeciwnym razie ta wojna będzie trwać wiecznie. ©

FOT. AMIR DEEB/MAT. PRASOWE



Sami Abu

Shehadeh

szef partii Balad, wchodzącej w skład Wspólnej Listy, która w wyborach do Knesetu zdobyła największą liczbę głosów po Likudzie i Jaszarze

REKLAMA

Twoje utwory były emitowane w internecie, radiu lub telewizji w latach 2020–2025, ale nie masz umowy z ZAiKS-em?

Nic straconego!

ZAiKS pobrał dla Ciebie wynagrodzenia na mocy obowiązujących przepisów, ponieważ właśnie w ten sposób prawo zabezpiecza autorów, autorki i ich spadkobierców.

Zgłoś się po swoje pieniądze do ZAiKS-u. Czekamy na Ciebie.

W celu odebrania wynagrodzenia niezbędne jest potwierdzenie praw do utworu.
Kontakt: +48 22 55 67 101, wydzial.repartycji@zaiks.org.pl

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS jako największa w Polsce organizacja zbiorowego zarządzania prawami autorskimi dba o to, by twórca zarabiał na swojej twórczości.

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

Lula zostaje trochę dzięki USA

Brazylijscy wyborcy dali prztyczka w nos Donaldowi Trumpowi. Geostrategiczna gra o Amerykę Łacińską, w której poza USA i lokalnymi „suwerenistami” uczestniczą Chiny oraz Unia Europejska, będzie jednak trwała

Witold

Sokała

81-letni Luiz Inácio Lula da Silva dokonał 25 października niebagatelnego wyczynu. Zdobył fotel prezydenta Brazylii po raz czwarty (poprzednio w latach 2002, 2006 i 2022) mimo własnej trudnej przeszłości (w tym pobytu w więzieniach) i niewątpliwego zmęczenia polityką, ogromnej presji zewnętrznej, widocznego buksowania swych sztandarowych programów socjalnych, a także niesprzyjających sondaży (jeszcze w przedwyborczą sobotę większość z nich wskazywała, że przewagę ma senator Flávio Bolsonaro; w uznawanym za kluczowy stanie Minas Gerais było to aż 5 pkt proc.). I wbrew przegranej pierwszej turze wyborów, po której wielu obserwatorów nie dawało mu już żadnych szans. W drugiej zgarnął jednak niemal 65 mln głosów. Jego rywal – niespełna 60 mln. Trzy tygodnie wcześniej na Lulę zagłosowały 54 mln Brazylijczyków, na Bolsonaro 56 mln, a na pozostałych kandydatów łącznie nieco ponad

9 mln. Jak łatwo policzyć, a rozpisują to właśnie szczegółowo brazylijscy spece, urzędująca głowa państwa okazała się na finiszu skuteczniejsza nie tylko w przyciąganiu do siebie osieroconych wyborców z pierwszej tury, lecz także w mobilizowaniu osób, które poprzednio w ogóle nie pofatygowały się do urn.

Udany finisz Luli to bez wątpienia efekt niezwykle hojnych obietnic, składanych przezeń elektoratowi już po pierwszej turze wyborów. Ale oprócz tej ewidentnej kielbasy wyborczej na korzyść starego politycznego wygi zagrało jeszcze coś – jego celowe odwołanie się do dumy narodowej i poczucia suwerenności Brazylijczyków w obliczu ostentacyjnej ingerencji Stanów Zjednoczonych w ich politykę wewnętrzną.

To, co nie tak dawno zadziało w Argentynie, zawiodło w Brazylii. Może dlatego, że Flávio Bolsonaro nie dorasta charyzmą i zdolnościami do Javiera Mileia, a „błędy i wypaczenia”, które da się przypisać Luli, błędą w porównaniu z wyczynami lewicowych populistów z Argentyny oraz ich dotkliwymi skutkami dla milionów obywateli.

Strzały w stopę

W przypadku Brazylii Trump i spółka najwyraźniej przedobrzyli. Pół biedy, że zastosowali tradycyjny już zestaw obietnic korzystnej współpracy ekonomicznej i egzaltowanych pochwał pod adresem członków klanu Bolsonaro, czyli obecnego kandydata i jego ojca Jaira, poprzedniego prezydenta (skazanego na wieloletnie więzienie za próbę zamachu stanu po zwycięstwie Luli cztery lata temu i odbywającego karę w komfortowych warunkach aresztu domowego we własnej rezydencji). Dołożyli do tego jednak działania bardziej bezpośrednie. W tym celu w Departamencie Stanu powstał specjalny zespół, którym dowodzili polityczni nominaci MAGA Darren Beattie (znany ze związków ze środowiskami rasistowskimi w USA) oraz Ricardo Pita Macedo (konserwatywny aktywista z wenezuelskimi korzeniami uchodzący za jastrzębia nawet w otoczeniu Marka Rubia). Obaj spotykali się dość często z Jairem i Fláviem Bolsonaro, a w końcowej fazie kampanii rolę głównego łącznika spełniał młodszy brat tego drugiego, Eduardo.

Efekty można teraz rekonstruować. Zaczęło się u progu wyborczego wyścigu od zakazu kontaktów pracowników ambasady USA z innymi kandydatami, zwłaszcza pravicowymi, aby nie wzmacniać ich jako rywali Bolsonaro juniora, a skończyło na zestawie sankcji ekonomicznych mających osłabić rząd Luli. Po drodze były jeszcze m.in. sankcje indywidualne wymierzone w przedstawicieli brazylijskiego wymiaru sprawiedliwości, w tym Alexandre’a de Moraes, sędziego Sądu Najwyższego, który prowadził sprawę Bolsonaro seniora, a wcześniej dał się poznać jako twardy zwolennik zwalczania metodami prawno-karnymi politycznego hejtu w mediach społecznościowych.

Rzecznik Departamentu Stanu tłumaczył ostatnio, że chodziło o „działania przeciwko handlarzom narkotyków” (faktycznie, sankcje objęły także wpisanie na listę organizacji terrorystycznych brazylijskich gangów Primeiro Comando da Capital i Comando Vermelho) oraz „w celu ochrony wolności słowa”, natomiast „naród brazylijski ma prawo wybierać swoich przywódców w wolnych i uczciwych wyborach”. Latynoski wyborca zrozumiał jednak swoje i okazał się przekorny.

Symboliczny cios w gangi przyjął nawet ze zrozumieniem, ale raczej nie zaskodziło to Luli, choć przeciwnicy nie bez podstaw oskarżali go od lat o nieudolność w zwalczaniu przestępczości zorganizowanej. Sankcje ekonomiczne wręcz podniosły notowania urzędującego prezydenta, gdy 50-proc. cła na brazylijskie towary Amerykanie wprost ogłosili jako „karę za złe traktowanie Jaira Bolsonaro”. W dodatku uderzyły one w interesy kilku wpływowych i bogatych rodzin, na przykład Batistów, właścicieli koncernu mięsnego JBS. Po drodze Amerykanie chyba zorientowali się, że ich działania są przeciwskuteczne, bo sankcje złagodzone, a Trump długo powstrzymywał się z otwartym i oficjalnym wskazywaniem swego faworyta, paradoksalnie umożliwiając wzrost notowań Bolsonaro juniora. Na finiszu jednak nie wytrzymał. Po pierwszej turze ogłosił

„wielkie, wspaniałe, właściwie niesamowite zwycięstwo” i być może w ten sposób ostatecznie utopił szanse klanu Bolsonaro na powrót do władzy.

Co dalej?

Teraz będziemy zapewne świadkami dwutorowych działań USA. Po pierwsze, będą one obliczone na podważanie wyniku głosowania i prawomocności prezydentury Luli – co już obserwujemy od powyborczego wieczoru. To wspólna z przegranym kandydatem narracja wskazująca m.in. na „niepokojące” przedłużenie głosowania w niektórych okręgach. Swoją drogą o to przedłużenie wnioskowali akurat ludzie Bolsonaro, którzy obawiali się, że ulewne deszcze na południu utrudnią ich zwolennikom dotarcie na czas do lokali wyborczych. W dodatkowym czasie w końcu oddano zresztą jedynie 35 tys. głosów. Mimo to Trump nie odmówił sobie tekstu o „kolejnych sfalszowanych wyborach”.

Po drugie – i zapewne ważniejsze – Amerykanie będą pewnie aktywnie, acz możliwie dyskretnie kibicować prawicy w obu izbach Kongresu, gdzie dysponuje ona przewagą nad stronnikiem Luli, w dziele paraliżowania reform obiecanych przez niego podczas kampanii (w tym zmiany prawa pracy oraz wprowadzenia bezpłatnego transportu publicznego w weekendy). Jednocześnie będą wykorzystywać wszelkie furtki, by wzmacniać swoją obecność biznesową na rynku brazylijskim, podgryzając przy tym bardzo etatystyczny model gospodarki rozbudowany pod auspicjami Luli. Na dłuższą metę ta gra może przynieść skutki, bo gdy przemianie powyborczej euforia, bez przeminieć będzie musiał się zmierzyć z długiem publicznym na poziomie 82 proc. PKB (najwyższym od czasów pandemii) oraz perspektywą słabnącego wzrostu gospodarczego (wedle oficjalnych prognoz w 2027 r. ma to być tylko 2,3 proc.).

Ratunkiem dla Luli i jego zaplecza mogą się z kolei okazać polityczne igrzyska przynajmniej tymczasowo przykrywające narastający deficyt chleba, czyli prokuratorskie polowanie na następnego Bolsonaro, a potem próba przedstawienia całej opozycji jako „agentów amerykańskiego kapitału”. Dziwaczny spektakl z pozbawieniem pokonanego kandydata paszportu mógł być balonem próbnym, ale niedoszły prezydent, niezwłocznie uciekający do USA (ku zdumieniu i zażenowaniu sporej części swoich niedawnych wyborców), świetnie wpisał się w wymarzony scenariusz spin doktorów Luli.

Paradoksalnie, ostateczne pogniębienie klanu Bolsonaro chyba w dłuższej perspektywie najbardziej zaszkodzi brazylijskiej lewicy, bo otworzy drogę do kariery innym politykom prawicowym i wolnorynkowym, może nie tak zachochanym (z wzajemnością) w MAGA, ale za to rozsądniejszym, mającym więcej klasy, a mniej elektoratu negatywnego – więc w efekcie skuteczniejszym. A tymczasem po drugiej stronie pewnie trzeba będzie w końcu znaleźć następcę Luli, dorównującego mu talentami, co może się okazać skrajnie trudne.

W Brazylii Stanom Zjednoczonym potrzeba więc cierpliwości oraz zdecydowanie więcej dyplomatycznego profesjo-

KOMUNIKAT



DYREKTOR NARODOWEGO CENTRUM BADAŃ I ROZWOJU

ogłasza III konkurs
w ramach Rządowego Programu

NUTRITECH – żywienie w świetle wyzwań poprawy dobrostanu społeczeństwa oraz zmian klimatu.

Celem głównym programu jest zwiększenie dostępności produktów i rozwiązań w zakresie prawidłowego żywienia w perspektywie do roku 2030 poprzez wdrożenie wyników prac badawczo-rozwojowych, uwzględniając zasady zrównoważonego rozwoju.

W wyniku realizacji Programu NUTRITECH organizacje badawcze, przedsiębiorstwa MŚP oraz inne podmioty posiadające zdolność do wdrożenia rezultatów projektu uzyskają wsparcie w rozwijaniu zdolności do tworzenia i wykorzystywania rozwiązań opartych na wynikach badań naukowych w celu nadania impulsu rozwojowego gospodarce i z korzyścią dla społeczeństwa w poniższych obszarach tematycznych:

Temat wiodący:

T1. NUTRIGENOMIKA I BIOMEDYCYNĄ JAKO NARZĘDZIE WSPIERAJĄCE WALKĘ Z PRZEWLEKŁYMI CHOROBYMI NIEZAKAŻNYMI (M.IN. CHOROBYMI DIETOZALEŻNYMI).

Temat uzupełniający:

T2. ŻYWNOSĆ W LECZENIU I ZAPOBIEGANIU CHOROBYM.

T3. ASPEKTY TECHNOLOGICZNE I GOSPODARCZE PRAWIDŁOWEGO ŻYWIENIA.

Na wsparcie projektów w konkursie przeznaczono łącznie **49,5 mln zł.**

Nabór wniosków będzie trwał od **15 grudnia 2026 r. do 26 lutego 2027 r.** (do godziny 16:00).

Szczegółowe informacje, w tym regulamin konkursu oraz wzór wniosku o dofinansowanie, są dostępne na stronie internetowej www.gov.pl/web/ncbr

BRAZYLIA

nalizmu i finezji, niż wykazały ostatnio. Bieżąca, taktyczna porażka nie oznacza bowiem automatycznego sukcesu globalnego rywala Waszyngtonu, czyli ChRL (co przedwcześnie obwieścili niektórzy komentatorzy). Obie strony brazylijskiej sceny politycznej są de facto podobnie pragmatyczne w relacjach z Państwem Środka, choć niekiedy posługują się odmienną retoryką. Obie muszą brać pod uwagę zależność swej gospodarki od wymiany handlowej z Chinami, obie muszą też uwzględniać antyamerykańskie resentymenty sporej części swego elektoratu. Po stronie lewicowej ta część jest znacznie większa, ale także prawica musi szanować stanowisko „suwerenistów” opowiadających się za wizjami świata wielobiegunowego i maksymalizacji roli własnego państwa.

Gra o Amerykę Łacińską

Pekin jest w tej sytuacji partnerem trudnym, acz koniecznym do przynajmniej częściowego równoważenia neokolonialnych zakusów Waszyngtonu. To dlatego Jair Bolsonaro, odwiedzając kilka lat temu chińską stolicę, odżegnywał się od krytyki gospodarzy czy nawet nazywania ich komunistami (twierdził, że przecież „wizytuje kraj kapitalistyczny”). Lula prowadził zaś z Chińczykami skomplikowaną grę, wpuszczając ich na swoje podwórko tylko na tyle, na ile musiał.

Kolejna kadencja nie będzie więc nągłym osunięciem się Brazylii w chińskie objęcia, lecz raczej kolejną odsłoną rywalizacji dwóch koncepcji budowy suwerenności i dobrobytu kraju. Jedna opiera się na ekspansywnej roli państwa w gospodarce, programach socjalnych i zwiększonej redystrybucji (co oczywiście tworzy więcej punktów spójnych z modelem chińskim). Druga, bardziej liberalna, stawia na rozwiązania rynkowe i tworzy wolną przestrzeń dla kapitału prywatnego (co w naturalny sposób sprzyja ekspansji amerykańskiej). W żadną jednak nie wpisano z góry statusu wasalnego wobec jakiegokolwiek zewnętrznego mocarstwa.

Sukces jednej z tych wizji przyszłości Brazylii będzie miał natomiast rosnący wpływ na wybory innych państw kontynentu – mniejszych i słabszych, więc bardziej podatnych na ewentualną wasalizację. Na razie zwycięstwo Luli z entuzjazmem przyjęli nieliczni już lewicowi przywódcy krajów regionu, bo dało im i ich zwolennikom cień nadziei na odwrócenie dominującego ostatnio trendu wyborczych triumfów polityków prawicowych. To pewnie miał na myśli sędziwy i powszechnie szanowany za swój profesjonalizm dyplomata Celso Amorim, były dwukrotny minister spraw zagranicznych Brazylii, gdy mówił, że „lewica będzie miała ogromne znaczenie dla ustanowienia równowagi w Ameryce Łacińskiej. A Lula jest tą równowagą”. Co charakterystyczne, z błyskawicznymi gratulacjami i deklaracjami chęci dobrej współpracy pospieszili także Keiko Fujimori z Peru, José Antonio Kast z Chile czy Santiago Peña z Paragwaju, a więc liderzy zdecydowanie kojarzeni z prawicą nacjonalistyczną lub konserwatywno-liberalną. Mogą oni co prawda orientować się politycznie

na USA oraz nie podzielać ideowych sympatii Luli, ale... Brazylia jest zbyt blisko i jest dla nich zbyt ważnym kontrahentem, żeby lekkomyślnie się na nią obrażać.

To kolejny powód, dla którego zdrowy rozsądek powinien podpowiadać politykom z Waszyngtonu rezygnację z otwartej krytyki tego regionalnego mocarstwa, nawet jeśli akurat głosi je ono nie po myśli amerykańskich przywódców. Rzecz jasna, można sobie ten dyskomfort jakoś rekompensować – i być może taki charakter ma obserwowana właśnie nowa ofensywa polityczna w Wenezueli i na Kubie. Tam o spektakularne efekty, bardzo potrzebne Trumpowi (ale również Marcowi Rubiowi), może być łatwiej. Sprawę może jednak skomplikować listopadowa podróż papieża Leona XIV, znanego z niezbyt wygodnych dla Trumpa narracji, do Argentyny, Urugwaju i Peru. Jego aż 36 planowanych przemówień uważnie wysłuchają zresztą Latynosy nie tylko w tych trzech państwach.

Globalne implikacje

Przetrawianie Luli w roli prezydenta Brazylii niewątpliwie stabilizuje politykę tego kraju na forum ONZ oraz BRICS, gdzie proamerykański Bolsonaro byłby mniej wiarygodny w roli reprezentanta i adwokata globalnego Południa, a więc siłą rzeczy, wbrew intencjom, także mniej skuteczny w równoważeniu potęgi chińskiej. Najprawdopodobniej zresztą zrejetrowałby rychło z tego formatu, co wprawdzie przelotnie nieco osłabiłoby BRICS wizerunkowo, ale w dłuższej perspektywie sprzyjałoby dominacji tam ChRL i Rosji, a to z naszego punktu widzenia niezbyt

dobry scenariusz. Chyba podobnie ocenili sytuację premier Indii Narendra Modi oraz prezydent RPA Cyril Ramaphosa, bo ich depesze do brazylijskiego prezydenta elekta znacząco wykraczały poza zwykłą dyplomatyczną kurtuazję.

Warto też pamiętać, że to Lula osobiście występował w roli zaangażowanego promotora umowy bloku Mercosur z Unią Europejską, a tworzony przez niego coraz bardziej etatystyczny model brazylijskiej gospodarki znakomicie przylega do uniijnych standardów. Te wybory dotyczyły więc również skali i kształtu dalszej współpracy Ameryki Południowej z Europą. Lula w roli prezydenta Brazylii oznacza bardzo prawdopodobne pogłębienie więzów ekonomicznych, a w pewnych obszarach i scenariuszach także nasilenie kooperacji politycznej i – być może – strategicznej. Poza wszystkim innym Brazylia jest przecież krajem zasobnym w kluczowe dla naszego rozwoju surowce, w tym metale ziem rzadkich, a w dodatku dysponuje niebagatelnym potencjałem militarnym. Europejski program kosmiczny opiera się zaś w znacznym stopniu na francuskich instalacjach w Gujanie. Do niedawna mogliśmy uważać bazę i kosmodrom w Kourou za całkowicie bezpieczne, bo wyobrażalni wrogowie byli daleko, a amerykański sojusznik – w razie czego – bardzo blisko. Dzisiaj, gdy lokalne zawirowania stają się coraz bardziej prawdopodobne, a lojalność USA wątpliwa, nieźle mieć niemal na miejscu przyjaciół z odpowiednimi zdolnościami bojowymi.

W tym kontekście nie powinny dziwić bardzo szybkie i ciepłe gratulacje, które popłynęły do Luli ze strony szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen („Partnerstwo Europy z Brazylią

kwitnie; pozostaniemy u waszego boku w nadchodzących latach (...), będziemy ściśle współpracować na rzecz globalnego porządku opartego na zasadach”) czy Emmanuela Macrona („Francja i Brazylia mają wiele do wspólnego zbudowania. W obliczu wielkich wyzwań naszych czasów wzmocnimy nasze strategiczne partnerstwo i podtrzymujemy przyjaźń między naszymi krajami w służbie bardziej sprawiedliwego świata”). Z nieco innych powodów, pewnie trochę mniej licząc na wymierne efekty kooperacji, a bardziej ciesząc się ze smutnej miny Donalda Trumpa, dołączyli do tych duserów Wołodimir Zełenski (dziękujący Luli, zresztą mocno na wyrost, za „niezachwiane poparcie dla suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy”) oraz premier Kanady Mark Carney.

Ze strony Polski gratulacje szybko złożył Luli premier Donald Tusk, wspominając przy okazji o roli dwumilionowej brazylijskiej Polonii. Prezydent Karol Nawrocki wykazał się wobec swego protokolarnego odpowiednika... daleko posuniętą wstrzeźliwością i na razie nie wysłał depeszy, co też nikogo nie zdziwiło. ©



FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca
Instytutu Stosunków
Międzynarodowych
Uniwersytetu Jana
Kochanowskiego
w Kielcach,
przewodniczący Rady
i analityk Fundacji
Po.Int, publicysta DGP

Najtrudniejsza kadencja

Lewicowy przywódca znacząco poprawił warunki życiowe Brazylijczyków, ale jednocześnie doprowadził do wzrostu zadłużenia. Dla państwa z kiepską historią kredytową zobowiązania zbliżające się do równowartości 100 proc. PKB to poważny problem

Tomasz

Jóźwik

Stwierdzenie, że inwestorzy przyjęli zwycięstwo Luiza Inácia Luli da Silvy w brazylijskich wyborach prezydenckich bez entuzjazmu, byłoby eufemizmem. W poniedziałek, na pierwszej sesji po głosowaniu, giełda w São Paulo doświadczyła krachu. Bovespa, główny indeks obrazujący poziom kursów, spadł o 14 proc., przez co poniósł największe jednodniowe straty od wybuchu pandemii w 2020 r. W gwałtownej przecenie inwestorzy na razie nie dostrzegli dobrej okazji do kupna akcji po atrakcyjnych cenach. Kursy na giełdzie spadały także we wtorek i w środę, choć już z dużo mniejszą dynamiką.

Uwzględniając charakterystykę rynku walutowego, na którym kursy podlegają z reguły dużo mniejszym wahanom niż notowania akcji, inwestorzy jeszcze brutalniej potraktowali reala. Notowania brazylijskiej waluty spadły w poniedziałek w odniesieniu do dolara o 8 proc. Według danych firmy LSEG był to największy spadek od 1999 r. Gwałtowna wyprzedaż nie ominęła również obligacji brazylijskiego rządu.

Jeśli przyjąć tezę, że zmiany trendów na rynkach finansowych często poprze-

dzają wydarzenia w realnej gospodarce, to wyprzedaż aktywów należałoby odczytać jako zapowiedź załamania aktywności ekonomicznej w Brazylii. Wydaje się jednak, że tym razem chodzi przede wszystkim o zawiedzione nadzieje związane z oczekiwanym zwycięstwem Flávia Bolsonaro.

Liberalna agenda, której nie będzie

Syn Jaira Bolsonaro, prezydenta w latach 2019–2022, który obecnie odsiaduje wyrok za próbę zamachu stanu, uzyskał w pierwszej turze wyborów 4 października 47 proc. głosów, dzięki czemu wyprzedził Lulę o niemal 2 pkt proc. Uzyskany wynik uczynił z Flávia Bolsonaro zdecydowanego faworyta do zwycięstwa. Do Brazylii popłynął kapitał, skuszony ekonomicznym programem prawicowego kandydata.

Flávio Bolsonaro obiecywał przegląd podatków, w tym zmniejszenie obciążeń inwestycji i wprowadzenie zerowych stawek podatku na paliwa i energię ➤

elektryczną. Z punktu widzenia inwestorów zagranicznych szczególnie atrakcyjne mogła wyglądać zapowiedź obniżenia stawek IOF (Imposto sobre Operações Financeiras), daniny obejmującej kredyty bankowe, wymianę walut i niektóre inne operacje finansowe. Podatek ten w określonych przypadkach podnosi koszt transferu kapitału do Brazylii i z niej.

Ważnym punktem programu Bolsonaro było też zniesienie 12-proc. podatku od eksportu ropy. Wycofanie się z pobierania daniny bezpośrednio przełożyłoby się na wzrost zysków Petrobrasu, największej brazylijskiej firmy giełdowej, a pośrednio mogłoby zachęcić kapitał do szerszych inwestycji w sektorze naftowym. Brazylia wydobywa ok. 5 mln baryłek ropy dziennie i zajmuje pod tym względem szóste miejsce na świecie.

Bolsonaro obiecywał również redukcję sektora publicznego (m.in. likwidację 10 ministerstw), prywatyzację państwowych przedsiębiorstw i deregulację gospodarki. W skrócie – inwestorzy liczyli na to, że będzie brazylijskim odpowiednikiem Donalda Trumpa. Amerykanie z różnych względów oceniają swojego prezydenta bardzo nisko, ale hossa na Wall Street kwitnie w najlepszej, a 20 proc. najbogatszych rodaków Trumpa cieszy się solidnym wzrostem dochodów. W brazylijskich wyborach Donald Trump, przyjaciel Jaira Bolsonaro, jednoznacznie poparł Flávia.

Wielkie zasługi prezydenta Luli

Prognozowanie załamania w brazylijskiej gospodarce na podstawie gwałtownego spadku cen aktywów finansowych jest nieuzasadnione także z tego powodu, że za rządów Luli w Brazylii nie wydarzyło się nic dramatycznego. Na kończącej się właśnie trzecią kadencję lewicowego prezydenta przypada solidny wzrost gospodarczy, który w latach 2023–2024 przekraczał 3 proc. Łącznie przez trzy lata za kadencji Luli PKB Brazylii urosł o 9,2 proc., wobec średniego wyniku na poziomie 5,6 proc. dla Argentyny, Boliwii, Chile, Kolumbii, Ekwadoru, Peru, Paragwaju i Urugwaju w tym samym okresie.

Lula znacząco poprawił sytuację materialną Brazylijczyków. Zarobki w ujęciu realnym, czyli po uwzględnieniu inflacji, wzrosły o 13 proc. Tyle, ile płaca minimalna. Obniżyły się wskaźniki ubóstwa, a w 2025 r. Brazylia została usunięta z mapy głodu (Hunger Map) Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Wyżywienia i Rolnictwa (FAO). Oznacza to, że odsetek ludności borykający się z chronicznym niedożywieniem spadł poniżej 2,5 proc.

Nigdy wcześniej w tak dobrej kondycji nie znajdował się rynek pracy. W II kw. 2026 r. stopa bezrobocia obniżyła się do najniższego w historii poziomu (5,4 proc.). Bezrobocie wśród młodzieży spadło do 11,7 proc. Gdy Lula obejmował rząd, wskaźniki te wynosiły odpowiednio 9,3 i 19,4 proc. Dzięki poprawie sytuacji materialnej Brazylijczyków głównym motorem wzrostu PKB w latach 2023–2024 była konsumpcja. Gdy w 2025 r. jej dynamika wyhamowała, również wzrost gospodarczy obniżył się do 2,3 proc.

W ostatnich latach Lula przeforsował wiele przepisów wspierających osoby pracujące. Udało się m.in. uchwalić nową ustawę o płacy minimalnej, równe wynagrodzenia dla obu płci i wydłużenie urlopów macierzyńskich. Brazylijczycy o niskich dochodach mogą liczyć na pomoc w spłacie zaległych zobowiązań finansowych (programy Desenrola Brasil i Novo Desenrola Brasil), podobnie jak osoby pracujące w szarej strefie lub bez formalnej umowy o pracę (Desenrola Adimplentes). W trakcie ostatniej kadencji Lula podniósł o 70 proc. w ujęciu realnym zasiłek rodzinny dla gospodarstw domowych o niskich dochodach.

Wydatki zwiększyły dług

Duża część rozwiązań wprowadzonych przez Lulę wiązała się ze zwiększonymi kosztami dla budżetu. Realizowana przez prezydenta agenda ekonomiczna określana jest mianem „podatków i wydatków”. Jak sugeruje nazwa, Lula zwiększał obciążenia podatkowe, np. podnosząc stawki wspomnianego podatku IOF, lub ograniczał ulgi w daninach, żeby w ten sposób finansować kolejne transfery z budżetu.

To jednak i tak nie wystarczyło. Od 2022 r. do 2025 r. wydatki sektora finansów publicznych zwiększyły się w relacji do PKB o 3 pkt proc., do 47 proc. W tym roku wskaźnik ma się zbliżyć do poziomu 49 proc. Jednocześnie przychody utrzymują się na stałym poziomie ok. 40 proc. PKB. Różnicę między tymi wielkościami trzeba było finansować emisją długu. Średni deficyt finansów publicznych w latach 2023–2025 miał wartość 7 proc., a w tym roku może przekroczyć 8 proc. PKB. Według prognoz Międzynarodowego Funduszu Walutowego dług publiczny Brazylii wzrośnie do 97 proc. PKB, gdy w 2022 r. wynosił 84 proc. PKB.

Dług publiczny na najwyższym poziomie w historii to dla takiego państwa jak Brazylia kwestia co najmniej kłopotliwa. W latach 80. i 90. największa południowoamerykańska gospodarka regularnie miała problemy z obsługą zadłużenia i utrzymywała się na powierzchni tylko dzięki pomocy finansowej ze strony instytucji takich jak MFW. Jeszcze na początku XXI w., gdy Lula rozpoczynał pierwszą kadencję na stanowisku prezydenta (2003 r.), kraj balansował na granicy bankructwa.

Życie ponad stan kosztuje

W Europie tematem numer jeden są problemy francuskich finansów publicznych. Brazylia ma wyższy deficyt i niewiele tylko niższy poziom długu publicznego niż Francja, a jest państwem słabiej rozwiniętym, z radykalnie gorszą historią kredytową. To oznacza, że pożyczanie pieniędzy jest wyjątkowo kosztowne. Rentowność 10-letnich obligacji brazylijskich przekracza 15 proc., obligacji francuskich – trzy razy mniej. Dla polskiego długu analogiczny parametr kształtuje się na poziomie 6,5 proc.

Niemal zawsze pieniądze najtańiej pożyczają rząd. Wszyscy inni – firmy

i osoby fizyczne – za możliwość zaciągania zobowiązań płacą więcej. Gdy więc rentowność rządowych obligacji rośnie, a w dodatku jest tak wysoka jak w Brazylii, poziom finansowego stresu w gospodarce rośnie. Dodatkowo bank centralny podniósł w 2025 r. główną stopę procentową do 15 proc. Brazylijski urząd statystyczny powiązał wytracenie tempa wzrostu przez konsumpcję w zeszłym roku ze wzrostem kosztów finansowych dla gospodarstw domowych. Lula uruchomił kolejne programy pomocowe dla zadłużonych Brazylijczyków, ponieważ mają oni coraz większe problemy z obsługą swoich zobowiązań.

Sytuacji w tej kwestii nie poprawiały komentarze Luli, który obawy dotyczące nadmiernego zadłużenia swojego kraju czasami określał jako „bzdury”. W kampanii wyborczej prezydent złożył kolejne potencjalnie kosztowne obietnice. Opowiedział się m.in. za skróceniem tygodnia pracy bez obniżki płac, zaproponował umorzenie długu dla gospodarstw domowych w najtrudniejszej sytuacji i obiecał bezpłatny transport publiczny w weekendy. Ostatecznie nowy-stary prezydent zadeklarował też większą dyscyplinę fiskalną, która jednak nie będzie dotyczyć programów socjalnych. Eksperci się zastanawiają, czy te dwie kwestie da się pogodzić, skoro ponad 90 proc. publicznych pieniędzy pochłaniają tzw. wydatki sztywne, wynikające z obowiązujących regulacji.

Polityczne problemy w parlamencie

Wysokie koszty finansowe są kłopotliwe nie tylko dla gospodarstw domowych. Ograniczają również inwestycje przedsiębiorstw. W 2025 r. inwestycje w Brazylii miały równowartość 17 proc. PKB. Z danych Banku Światowego wynika, że w XXI w. nakłady na środki trwałe w skali globalnej wynosiły 23–27 proc. PKB.

Wśród narzędzi sprzyjających zwiększaniu inwestycji eksperci nigdy nie wymieniają podwyżek podatków – te działają z reguły w przeciwnym kierunku. A Lula wciąż zamierza podnosić efektywne obciążenia przez ograniczanie ulg lub wprowadzanie nowych danin, takich jak podatek na produkty uważane za szkodliwe dla środowiska lub zdrowia. Ma on objąć m.in. papierosy i alkohol.

Na przeszkodzie w podnoszeniu podatków może jednak stanąć Kongres Narodowy. Równoległe z pierwszą turą wyborów prezydenckich odbyło się głosowanie, którego stawką było wszystkie 513 miejsc w niższej izbie i dwie trzecie z 81 miejsc w izbie wyższej parlamentu. Swoje stanowiska powiększyły ugrupowania prawicowe z Partią Liberalną Flávia Bolsonaro na czele, uzyskując większość w obydwu izbach. Między innymi dlatego eksperci polityczni prognozują, że czwarta kadencja Luli w roli prezydenta Brazylii będzie dla niego najtrudniejsza.

©P

Kraj

Po co tkwić w takim rządzie?

Przez pierwsze dwa lata jakoś wspólnie działaliśmy. A ostatni rok to decyzje zapadające w gremium czterech, pięciu ministrów lubianych przez premiera, pozostałych odsuwano na boczne tory. Liczba rzeczy, które można było załatwić, spadała z dnia na dzień

Z Janem

Szyszką

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Warto było?

Do pewnego momentu na pewno tak. Naprawiliśmy największy program inwestycyjny dekady, bo tym jest Krajowy Plan Odbudowy. Najpierw go odmroziliśmy, później w toku długich negocjacji z Komisją Europejską wyrzuciliśmy z niego złe reformy i wprowadziliśmy dobre, przeprowadziliśmy przez Sejm, uzyskaliśmy podpis prezydenta, wdrożyliśmy. Sam miałem zaszczyt prowadzić te negocjacje. Uważam, że jest się czym pochwalić.

Czekam na „ale”.

Ale w pewnym momencie koszty polityczne bycia w rządzie, który odchodził od tego, co obiecywaaliśmy trzy lata temu, zaczęły przewyższać satysfakcję z rzeczy, które udawało się przeforsować. Z miesiąca na miesiąc, z tygodnia na tydzień coraz trudniej



Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

WYWIAD

było się dogadać. Na dłuższą metę to było dysfunkcjonalne.

Jakiś przykład?
Od sześciu miesięcy nie można zwołać komitetu do spraw ekonomicznych, na którym zdecydowalibyśmy o technicznych, ale kluczowych sprawach, jak np. kto się ma zająć w rządzie nowymi unijnymi instrumentami finansowymi. Chodzi m.in. o Europejski Fundusz Konkurencyjności, wielomiliardowe narzędzie. Ktoś musi przeprowadzić analizę potrzeb, zorganizować system zarządzania funduszem, przygotować do niego polskie firmy i uczelnie. I żeby chociaż zapadła decyzja, że zajmuje się tym inne ministerstwo, rozkładamy inaczej akcenty – OK, możemy dyskutować, mogę się z czymś nie zgadzać. Ale tu nie było żadnej decyzji.

Dlaczego?
W pewnym momencie premier i środowisko Koalicji Obywatelskiej podjęli decyzję o braku współpracy z Katarzyną Pełczyńską-Nałęcz. Lepiej, gorzej, ale przez pierwsze dwa lata jako wspólnie działaliśmy. A ostatni rok to decyzje zapadające w gremium czterech, pięciu ministrów lubianych przez premiera, pozostałych odsuwano na boczne tory. Liczba rzeczy, które można było załatwić, spadała z dnia na dzień. Po co tkwić w takim rządzie? W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że trwając w tej sytuacji, stanę się politykiem, którym nigdy nie chciałem być: obsadzającym stołek tylko po to, by obsiadać stołek.

Po to, by poszarpać się o kilka konkretnych spraw, na których mocno wam ponoć zależy, i mieć satysfakcję, że coś się udało. A tak oddajecie walkowerem to boisko.
To nie walkower, tylko odbicie się od ściany. Było sporo momentów, w których widziałem, że moja praca ma sens. Nigdy nie zapomnę długich, szczegółowych i męczących negocjacji rewizji KPO oraz momentu, w którym udaje się przekonać Komisję Europejską, by wyrzucić z naszego projektu podatek od posiadania aut spalinyowych. To był piętrowy, merytoryczno-polityczny spór o to, czy Europa ma karać ludzi za jeżdżenie starszymi samochodami. Podobna walka odbyła się o wyprowadzenie z naszego KPO obowiązkowego oskładkowania wszystkich umów zleceń i zastąpienie tego reformą Państwowej Inspekcji Pracy. Koronkowa robota w Warszawie i Brukseli, zresztą we współpracy z resortem rodziny.

A na wewnętrznym boisku?
Długo zostanie mi w pamięci jeden z komitetów rządowych, na którym ludzie Polskiego Stronnictwa Ludowego do spółki z politykami Lewicy forsowali dopłaty do kredytów hipotecznych. Moja niewiedząca rola polegała na żmudnej blokadzie tych pomysłów. Uwaliliśmy te dopłaty do deweloperów, zaoszczędziliśmy całkiem sporo pieniędzy w budżecie, a i ceny mieszkań nie wystrzeliły jak zawsze przy takich akcjach.



FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

Jan Szyszko – były wiceminister funduszy i polityki regionalnej, polityk Polski 2050, współzałożyciel Instytutu Strategii 2050

O tym mówię – zamiast szarpać się jeszcze przez rok o kolejne ustawy, rzuciliście papierami. Właściwie dlaczego? Bo Andrzej Domański dostanie tekę wicepremiera, a nie Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz?

Nominacja dla Domańskiego nie była powodem naszej decyzji. Przełomowe punkty były tak naprawdę trzy: pierwszy to afera wokół Szpitala Południowego i sposób, w jaki nasi koalicjanci z KO się nią zajęli. Czarno na białym zobaczyliśmy, że kolesiostwo, z którym mieliśmy walczyć, a przynajmniej je ograniczać, ma się w najlepsze. Drugi punkt – wybór Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego. Stałem 10 lat temu na protestach przed Sądem Najwyższym, pamiętam tamtą atmosferę i postulaty, by nie upolityczniać sądów. Nagle okazuje się, że minister Berek, prawa ręka premiera – którego naprawdę wysoko oceniam za pracę w rządzie – może z dnia na dzień zamienić garnitur polityka na togę sędziego TK. Przecież to lustrzane odbicie nadużyć z czasów Prawa i Sprawiedliwości. I trzecia rzecz, która przelała czarę: zniesienie dwukadencyjności w samorządach.

Ustawa w tej sprawie przepadła. Ale już słyhać, że wróci. Przepadła mimo koalicji, a nie dzięki koalicji, bo każdy klub parlamentarny, który wchodzi w jej skład, w większości lub całości był za zniesieniem dwukadencyjności. Co perfidnego jest w tym, że koalicja przegrała z PiS i Konfederacją głosowanie w sprawie wartości demokratycznych.

Mogę zapytać bez owijania w bawełnę?
Proszę uprzejmie.

A czego innego żecie się spodziewali? Mając w pamięci rządy z lat 2007–2015 oraz wszystkie wady i zalety ludzi z Platformy i PSL, myśleliście, że teraz będzie inaczej?

Szymona Hołownię negocjacji umowy koalicyjnej, postawienia na dzień dobry trzech, czterech priorytetów tematycznych jako tych, za które będziemy w stanie iść do końca.

To co się stało, że to nie wypaliło? Mało doświadczony lider w partyjnych naparząnkach? Słabe struktury?

Czasem powód jest bardziej prozaiczny. Wiele osób, jak zobaczyło żyrandole w ministerstwach, jak rano zgłosił się do nich kierowca rządowy, jak na spotkaniach zaczęło się czapkowanie i to charakterystyczne „panie ministrze...” z przyklejonym uśmiechem... Nie chcę roztrząsać personaliów, oceniać charakterów i trwałości kręgosłupów, ale powiem tyle: polityka naprawdę zasysa i wciąga. Widziałem to na wielu przykładach w tych ostatnich trzech latach. Na koniec okazuje się, że w ostatnich tygodniach nasz klub w Sejmie nie ma ani jednej sprawy, w której zagłosowałby jednolicie. Nie łączy go nic poza koniunkturą.

Chłop odszedł z rządu, a teraz rozgoryczeniem i żalem nas zalewa.

W tę pułapkę nie chcę wpaść. Uczciwie mówię, że to nie jest czarno-biały obraz: z elementami sprawczości, ale też błędów, zdrady wartości i zepsucia ludzi polityką. Gryzę się w język, żeby się nie wyzłośliwiać.

Na koniec Roman Giertych zarzucił panu spiskowanie z Bielanem i Dworczykiem w Strasburgu.

Zaangażowanie herszta platformerskiej propagandy przeciwko mnie traktuję jako dowód na to, że w oświadczeniu rezygnacyjnym postawiłem trafne tezy. Zarzuty Giertycha to chyba największe świństwo, jakie mi zrobili w całym zamieszaniu wokół odejścia z rządu. Pojechałem jako wiceminister dyskutować o stanowisku wobec pomysłów na obronę polityki spójności w kolejnym unijnym budżecie i spotkałem się z dziewięciorgiem europosłów. I to oficjalnie – w Parlamencie Europejskim, za dnia, a spotkania umawiało mi stałe przedstawicielstwo Polski przy Unii Europejskiej. Jeśli był to spiszek, Roman Giertych musi dzwonić z pretensjami do Agnieszki Bartol i Radosława Sikorskiego.

I co teraz? Przerwa na papierosa i powrót do gry partyjnej, bo za rok wybory? Czy jest przesyt polityką i obrzydzenie do niej?

Przeszczep nie przyjmują się w polityce, nie będę przechodził do innego ruchu politycznego tylko po to, by zadbać o stołek. W tym rozdaniu, które mamy, w tych partiach, które mamy, nie ma dla mnie miejsca. Przyjmuję to, miałem życie zawodowe przed polityką, będę miał i teraz. Jak kiedyś wrócę do polityki, to na własnych zasadach. To duża naiwność wierzyć, że polityka sama się zmieni.

To wy mieliście być tą zmianą. I na tyle, na ile się dało, nią byliśmy. ©©



Mniej Więcej

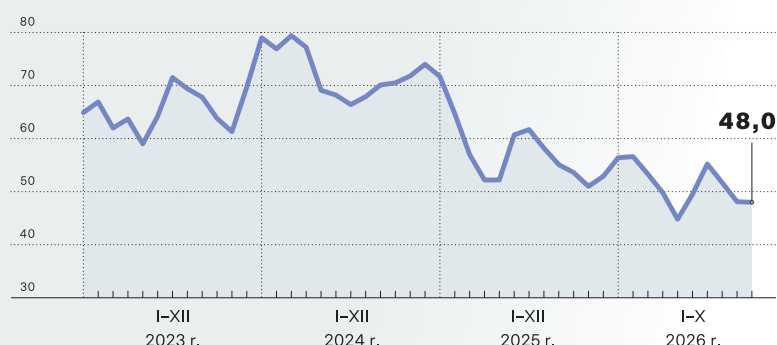
Łukasz

Wilkiewicz

Amerykanie niezadowoleni przed wyborami

Nastroje konsumenckie Amerykanów nigdy jeszcze nie były tak złe, jak w tym roku, co przed wyborami połówkowymi nienajlepiej wróży rządzącym republikanom i Donaldowi Trumpowi. Obliczany przez Uniwersytet Michigan indeks ufności konsumenckiej w październiku był na poziomie 48 pkt (100 pkt to poziom z początków badania sprzed sześciu dekad). Słabo wypadają zwłaszcza oceny bieżącej sytuacji, w czym duży udział mają wysokie ceny paliw, spowodowane rozpoczętą przez Trumpa wojną z Iranem. Uderzają one zwłaszcza w mniej zamożne grupy obywateli. Biorąc pod uwagę przekonania polityczne, większe obawy zgłaszają wyborcy republikanów niż demokratów. ©©

Indeks ufności konsumenckiej Uniwersytetu Michigan
(I kw. 1966 r. = 100)



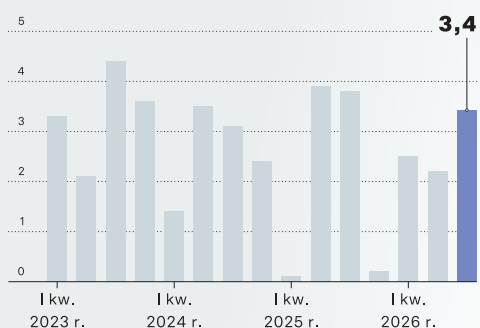
Źródła: Federal Bank of St. Louis, University of Michigan

LR ©©

Gospodarka się rozwija, ale...

Kiepskie nastroje w USA nie przeszkodziły w osiągnięciu wyższego od prognoz tempa wzrostu gospodarczego. PKB w III kw. w ujęciu annualizowanym (jaki wynik dostalibyśmy, gdyby ostatni kwartał rozciągnąć na cały rok) był o 3,4 proc.

Wzrost PKB USA
(proc., wyrównane sezonowo dane urocznione)



Źródło: Federal Bank of St. Louis

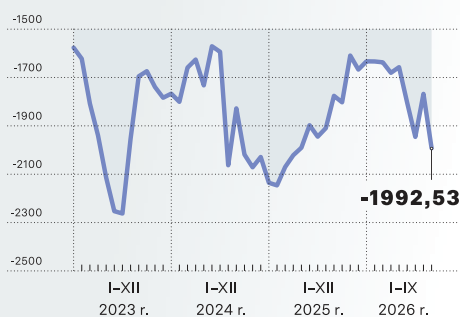
LR ©©

©©

Trump nie uzdrowił budżetu

Piętą achillesową polityki gospodarczej Donalda Trumpa (niejedyną) jest sytuacja kasy państwa. Miało być lepiej, m.in. dzięki cłom, które same z siebie powinny dawać wyższe dochody, a dodatkowo pomagać amerykańskim firmom, czego odbiciem były wyższe wpływy budżetowe.

Saldo budżetu federalnego USA
(mld dol., sumy 12-miesięczne)



Źródło: obliczenia na podstawie danych Federal Bank of St. Louis

LR ©©

©©

wyższy niż rok wcześniej. Dane okazały się nieco wyższe od prognoz. Konsumpcja urosła o 3,8 proc., podobnie jak kwartał wcześniej. Wynik na pozór zadowalający, ale problem w tym, że najszybciej rosnącą kategorią są wydatki na leczenie w szpitalach i leki. W osiągnięciu wysokiego wzrostu PKB pomogła sprzedaż paliw z państwowych rezerw w dobie kryzysu związanego z wojną na Bliskim Wschodzie.

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

©©

Společzeń

Liczy się nasze szczęście, nie PKB

Musimy w równym stopniu dbać o relacje międzyludzkie, opiekę zdrowotną i kondycję rodzin jak o fabryki i drogi. Jeśli zaniedbamy infrastrukturę społeczną, możemy zbudować bogaty kraj, który trzeszczy w szwach

Z Emmą

Holten

rozmawia Emilia Świętochowska

Pisze pani, że praca opiekuńcza jest kluczowa dla funkcjonowania całej gospodarki, że to ona umożliwia wykonywanie jakiegokolwiek pracy zarobkowej. A jednak w modelach i wskaźnikach ekonomicznych – z PKB na czele – nie jest ona traktowana jako coś, co tworzy wartość, lecz jako wydatek lub koszt. W jaki zatem sposób określić wartość pracy, którą tak trudno zmierzyć przy użyciu narzędzi ekonomicznych?

Po pierwsze, trzeba zadać pytanie o to, co stanowi dla ludzi wartość. Nigdy nie uzyskamy tu jednej, obiektywnej odpowiedzi. Ekonomia nie jest w stanie tego rozstrzygnąć. To, co daje nam poczucie dostatku i co uznajemy za wartościowe, jest kwestią polityczną. Dla jednych ważniejsza będzie dobra szkoła, dla innych duży samochód. Rynek nie powinien być miarą wszystkiego. Po drugie, ekonomia stała się tak potężną nauką, iż w polityce zapomnieliśmy o korzystaniu z innych dziedzin wiedzy. Nie sięgamy po dorobek socjologii, psychologii czy biologii, aby w pełni zrozumieć konsekwencje polityk publicznych. Podejmujemy długoterminowe decyzje wiążące się z wydawaniem miliardów, nie czerpiąc przy tym z najbardziej aktualnej wiedzy naukowej dotyczącej opieki nad dziećmi, edukacji czy zdrowia. Skupiamy się bowiem na kosztach.

Modele i analizy ekonomiczne są często traktowane jako obiek-

tywne, neutralne opisy rzeczywistości. Uważamy, że wyznaczają granice tego, co jest politycznie możliwe. Dlaczego?

Wielu z nas dorastało w przekonaniu, że liczby nie kłamią. Gdy widzimy skomplikowane wyliczenia, wydaje nam się, że musi za nimi stać ktoś znacznie mądrzejszy od nas. Każdy ekonomista przyzna jednak, że liczby nieustannie kłamią: wprowadzają nas w błąd, prezentują zafałszowany obraz rzeczywistości, utrudniają zrozumienie tego, co się tak naprawdę dzieje. Myślę, że ma to związek z tym, iż ekonomia zawsze miała ambicje upodobnić się do nauk przyrodniczych. Na pierwszy rzut oka może przypominać chemię czy fizykę, ale to na wskroś nauka społeczna. Ekonomiści przedstawiają swoje wnioski jako znacznie pewniejsze niż są w istocie, a my, obywatele, bezdyskusyjnie je przyjmujemy.

Uważa pani, że PKB powinno jakoś uwzględniać pracę opiekuńczą?

Powinniśmy całkowicie odrzucić PKB jako miarę dobrobytu. Żyjemy w systemie, który zakłada, że dopóki produktywność rośnie, wszystko jest w porządku. Nie ma znaczenia to, że gros bogactwa koncentruje się w rękach wąskiej grupy na samym szczycie ani to, jakie są skutki wzrostu dla środowiska czy naszego życia prywatnego. Mieszkam w Danii, która ma bardzo wysoki PKB w przeliczeniu na mieszkańca. Większość krajów europejskich marzy, by osiągnąć nasz poziom. Ale jeśli spojrzymy na to, co umyka PKB, zobaczymy, że w ciągu minionych 20 lat dobrostan Duńczyków się obniżył: pogorszył się nasz stan zdrowia psychicznego, wzrósł poziom stresu, spadło zadowo-

stwo

lenie z życia. Liczba urodzeń zmalała, a samotność stała się powszechnym problemem. Do tego mamy narastający kryzys psychiczny wśród dzieci.

To samo można powiedzieć o całym Zachodzie.

To prawda. Weźmy przykład Polski. Przez ostatnie kilkanaście lat wasza gospodarka radziła sobie świetnie. Wszyscy na was patrzą i pytają: Jak to robicie? Jednak kiedy rozmawiam w Polsce z pracownikami sektora opiekuńczego czy feministkami, słyszę, że duża część zasobów nie płynie tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, lecz do firm i osób zamożnych. Politycy zakładają, że jeśli gospodarka rośnie, reszta sama się ułoży. Przypadek Danii pokazuje, że tak nie jest. W praktyce bogacenie się wiązało się z utratą rzeczy, które czyniły Duńczyków szczęśliwymi, a nie miały ceny.

To co powinniśmy teraz zrobić? Musimy przyrzeć się temu, jak wykorzystywane są zasoby i czy służą one temu, czego potrzebuje społeczeństwo. W całej Europie mamy dziś do czynienia z rosnącą polaryzacją polityczną. Na prawicy nasilają się nacjonalistyczne nastroje, na lewicy coraz ostrzej krytykuje się kapitalizm, a partie centrowe słabną. Społeczeństwa dzielą się na przeciwstawne obozy. Gniew, który narasta po obu stronach sceny politycznej, ma jednak pewne wspólne źródła. Moim zdaniem jednym z nich jest kryzys opieki. Chodzi o poczucie braku wspólnoty, o to, jak trudno jest dziś stworzyć rodzinę i zapewnić jej dobre warunki do życia. Chodzi o poczucie pracowników, że nie są traktowani z szacunkiem. To kwestie ważne zarówno dla lewicy, jak i skrajnej prawicy. Oba obozy łączy też wściekłość na elity. Mieszkańcy wsi i mniejszych miast mają przekonanie, że ci w Warszawie czy Kopenhadze o wszystkim decydują, nie przejmując się ich losem. Myślę, że to jeden z najważniejszych skutków zapaści usług publicznych.

Protesty we Francji mogą tu być dobrą ilustracją.

Kiedy szkoły podupadają, kolejki do lekarzy się wydłużają, a lokalne więzi się rozpadają, ludzie zaczynają mieć poczucie, że nikogo nie obchodzą. Elity latają prywatnymi odrzutowcami po całej Europie, a nas nie stać na opłacenie mieszkania. Chociaż sama mam lewicowe poglądy, muszę przyznać, że skrajna prawica potrafi dziś bardziej przekonująco opowiadać o tych sprawach. Chcę pokazać, że istnieją progresywne odpowiedzi na te problemy. Możemy mówić o rodzinie i wspólnocie lokalnej

bez powielania patriarchalnych schematów. Nie musimy z nostalgią oglądać się na przeszłość.

Źródło gniewu i poczucia niesprawiedliwości jest to samo, a odpowiedzi polityczne tak różne.

To prawda. Nie powinniśmy ignorować tych emocji. Na skrajną prawicę często głosują ludzie, którzy zostali w tyle w wyniku globalizacji i zaniedbań inwestycyjnych. Sytuację pogarszają jeszcze społeczne nierówności. To bardzo ważne, by traktować te osoby poważnie – słuchać tego, co mówią, i starać się zrozumieć, jak wygląda ich życie.

To właśnie zrobił Donald Trump: odczytał frustracje i pretensje wyborców na prowincji. A teraz...

Jest przywódcą jednego z najbardziej wpływowych ruchów politycznych naszych czasów, który można określić jako nowoczesny neofaszyzm. To zdumiewające, że najwyraźniej co 50 lat klasa polityczna w Europie musi na nowo przerobić tę samą lekcję: nie wolno pozostawiać ludzi samym sobie i okazywać im lekceważenia, bo w końcu się zbuntują. Wiele partii centrowych, zarówno na lewicy, jak i na prawicy, zupełnie o tym zapomniało. Przez ostatnie 20–25 lat ugrupowania głównego nurtu sądziły, że dopóki PKB rośnie, wszyscy są zadowoleni. Nie myślały o więziach społecznych i dystrybucji zasobów. O pogłębiającym się podziale na bogatych i biednych i rosnącym dystansie między miastem a wsią. W książce staram się pokazać, że infrastruktura społeczna jest równie ważna jak infrastruktura fizyczna. Musimy w równym stopniu dbać o relacje międzyludzkie, opiekę zdrowotną i kondycję rodzin,

jak o fabryki i drogi. Jeśli zaniedbamy infrastrukturę społeczną, możemy zbudować bogaty kraj, który trzeszczy w szwach. Stany Zjednoczone są tu doskonałym przykładem.

Czy uważa pani, że praca opiekuńcza w domu powinna być opłacana?

Obawiam się, że gdyby wprowadzono takie rozwiązanie, wiele kobiet zostałoby jeszcze bardziej odizolowanych od społeczeństwa. Widzimy to w Danii w miejscach, gdzie za opiekę domową można obecnie otrzymywać wynagrodzenie. W praktyce oznacza to utratę kontaktu z rynkiem pracy, a nierzadko także z lokalną społecznością. Do tego taka praca jest zwykle słabo płatna. Kobieta miałaby więc jakieś pieniądze, ale dalej byłaby uzależniona od zarobków męża. Historia uczy nas, że niski dochód i społeczna izolacja sprawiają, że mężatki są szczególnie narażone na przemoc fizyczną i psychiczną, a także trudniej jest im się rozwieść.

Niektórzy ekonomiści próbowali wycenić pracę opiekuńczą w domu. Najczęstszą metodą było przemnożenie minimalnej stawki godzinowej przez liczbę godzin spędzonych na gotowaniu, sprzątaniu, zajmowaniu się dziećmi itd. Co pani sądzi o tych próbach?

Wyliczenia te są przydatne, bo uświadamiają nam, ile czasu i wysiłku pochłania praca w domu. W Finlandii oszacowano, że jej wartość powiększyłaby PKB o 40 proc., a w Anglii – o 60 proc. Pozwala to nam lepiej zrozumieć skalę zjawiska, ale nie pokazuje rzeczywistej wartości wytwarzanej w pracy opiekuńczej. Wyliczenia te sprowadzają się do oszacowania, ile trzeba by

komuś zapłacić na rynku za wykonanie tych samych zadań. Wychowując dziecko, tworzymy długofalową wartość zarówno dla siebie, jak i dla niego. Ucząc je nowych rzeczy, przyczyniamy się też do ukształtowania przyszłego pracownika. Przekonanie, że wartość wszystkiego można mierzyć ceną, jest więc zasadniczym błędem. Problem nie polega na tym, że jedne pozycje uwzględniamy w rachunkach, a inne pomijamy, lecz na tym, że wartość mierzymy niewłaściwie.

W krajach OECD kobiety poświęcają średnio cztery godziny dziennie na obowiązki opiekuńcze i domowe, dwa razy więcej niż mężczyźni. Stanowią też 75 proc. pracowników ochrony zdrowia i 83 proc. nauczycieli podstawówek. Jak zmniejszyć te dysproporcje?

Każdy lekarz i nauczyciel, każda pielęgniarka ma wpływ na życie znacznie większej liczby ludzi niż prezes firmy. Wielu mężczyzn mówi zaś: „Chcę stworzyć coś, co zmieni świat, chcę pozostawić po sobie trwały ślad, chcę być pamiętany”. Jeśli więc marzysz o tym, by poświęcić się czemuś, co ma znaczenie dla społeczeństwa, pomyśl o nauczaniu matematyki w drugiej klasie podstawówki. Jeśli będziesz to robić przez 50 lat, wpłyniesz na życie tysięcy ludzi. Ponieważ w ochronie zdrowia i edukacji pracują głównie kobiety, traktujemy je tak, jakby opiekowanie się innymi wynikało nie z umiejętności, lecz naturalnych predyspozycji.

O czym to świadczy?

O tym, że nie zdajemy sobie sprawy, jak wymagająca jest to praca. Dzień w biurze jest znacznie bardziej ➤

FOT. MALTE MUELLER/FSTOP/GETTY IMAGES



relaksujący niż spędzanie czasu w domu z dwójką dzieci poniżej piątego roku życia. Brak szacunku dla pracy opiekuńczej to moim zdaniem jedna z przyczyn, dla których tak niewielu mężczyzn zajmuje się nią zawodowo. Sytuację mogłyby też zmienić lepsze wynagrodzenia. Budowaliśmy w Europie państwa opiekuńcze, licząc, że kobiety zawsze będą wykonywać zajęcia opiekuńcze za dużo mniejsze pieniądze, niż na to zasługują. Dziś coraz częściej się temu sprzeciwiają. Widać to np. po problemach z zatrudnianiem opiekunów osób starszych.

Te niedobory w coraz większym stopniu uzupełniają uchodźczynie z Ukrainy czy migrantki z Filipin. Tak jakby na Filipinach nie potrzeba było pielęgniarek. Europa przejawia arogancję, zakładając, że zawsze znajdzie się rezerwuuar kobiet o ciemniejszym kolorze skóry, które wykonają za nas ciężką pracę. Warunki zatrudnienia są na tyle nieatrakcyjne, że godzą się na nie migrantki mające niewielką siłę przetargową.

Trudno zachęcić mężczyzn do pracy opiekuńczej w czasach, gdy kultura stawia im za wzór tech brosa i przesiębiorcę wizjonera. Tak, o tym właśnie marzy wielu mężczyzn. Jest mi ich żal nawet bardziej niż kobiet. Dominuje dziś model mężczyzny, który czerpie radość wyłącznie z uznania obcych ludzi. Wielu przez całe życie szuka akceptacji poza rodziną i gronem przyjaciół. W ten sposób skazują się na samotność. W książce przywołuję słowa Bronnie Ware, australijskiej pielęgniarki pracującej w hospicjum, która przez lata pytała pacjentów u kresu życia, czy czegoś żałują. Każdy mężczyzna odpowiadał tak samo: że zbyt dużo pracował i nie spędzał czasu z ludźmi, którzy byli dla niego naprawdę ważni. Mamy więc do czynienia z dwiema tragediami.

W jakim sensie? Kobiety są karane ekonomicznie za urodzenie dziecka i poświęcanie się rodzinie. Częściej biorą zwolnienia lekarskie i pracują na niepełny etat, co przekłada się na gorsze zarobki i utratę szans na awans. Mężczyźni spędzają długie godziny w pracy, w efekcie czego nie mogą w pełni doświadczać bliskich, pełnych miłości relacji w rodzinie. Opieka bywa trudna, nużąca, wyczerpująca, ale możliwość spędzania czasu z bliskimi jest też przywilejem. Wiele kobiet świadomie wybiera taką drogę, nawet jeśli mogłyby się zająć czymś innym. Kultura oczekuje od mężczyzn, że będą przede wszystkim żywicielami rodziny i oddanymi pracownikami, a nie Kochającymi partnerami i zaangażowanymi ojcami. To dobre zarobki i sukcesy zawodowe zapewniają im wysoki status społeczny – tak jak kobiety są podziwiane za urodę. Trudno zerwać z głęboko zakorzenionym modelem życia rodzinnego i wzorem męskości.

Czy zaproponowałaby pani jakieś konkretne rozwiązania prawne,

Emma Holten

„Deficyt. O ukrytej wartości pracy kobiet”, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2026



które ułatwiłyby ludziom godzenie kariery z opieką nad bliskimi? Zamiast oczekiwać, by kobiety pracowały więcej, może powinniśmy skrócić czas pracy mężczyzn? Przez większość XX w. liczba przepracowanych godzin stopniowo spadała, ale od lat 90. prawie nic się w tej kwestii nie zmieniło. Zwłaszcza teraz, gdy rozwój AI może przyczynić się do wzrostu produktywności w niektórych sektorach, warto się zastanowić, jak sprawić, by wszyscy na tym skorzystali. Krótszy czas pracy to moim zdaniem doskonałe wyjście. Gdyby mężczyzna wracał do domu po 14, wywołałoby to rewolucję w małżeństwach. Kolejna sprawa to korzystne zasady urlopów ojcowskich. W Szwecji i innych krajach skandynawskich takie rozwiązania ograniczają liczbę rozwodów i zwiększają szanse na to, że ojcowie będą utrzymywać kontakt z dziećmi przez całe życie. Podsumowując: życie mężczyzn powinno bardziej przypominać życie kobiet.

A jak to wygląda w Danii? Ojcu przysługuje dwutygodniowy urlop po narodzinach dziecka. Po pierwszych 10 tygodniach urlopu macierzyńskiego rodzice mają prawo do 32 tygodni urlopu rodzicielskiego, w tym do 24 tygodni z zasiłkiem. Mogą się nim podzielić, jak chcą. W 2022 r. wprowadzono zasadę, że 11 tygodni nie podlega przeniesieniu – to znaczy, że jeden rodzic nie może ich „przekazać” drugiemu. Musi też wykorzystać je przed pierwszymi urodzinami dziecka, bo inaczej przepadną. Efekty są naprawdę niezwykłe. Z urlopu skorzystało znacznie więcej mężczyzn, niż przewidywano. Spodziewano się, że będą to głównie dobrze wykształceni, zamożni mieszkańcy dużych miast. A okazało się, że korzystają z nich różne grupy – również mężczyźni wykonujący zawody tradycyjnie uznawane za męskie, np. marynarze czy mechanicy. Napawa to optymizmem, zwłaszcza że kiedy wprowadzano zmiany, wielu ostro się im sprzeciwiało.

Dlaczego? Odbierali je jako zamach na swoją wolność. Ja przedstawiałam to inaczej: nikogo do niczego nie zmuszamy, tylko dajemy mu prawo – tak jak masz prawo zostać w domu w razie choroby albo skończyć pracę o określonej porze. Nie można wymagać od ojców, by

szybko wracali do pracy, kiedy dopiero zaczęli nawiązywać z dzieckiem więź. Powinniśmy do tego podchodzić jak do kwestii praw pracowniczych. W wielu konserwatywnych ruchach jest pełno hipokryzji: podkreślają rolę matki, ale gdy mowa o znaczeniu ojca w życiu dzieci, słyszymy, że ma zarabiać na utrzymanie. Hiszpańskie ekonomistki opowiadały mi, że kiedy walczyły o korzystniejsze zasady urlopów rodzicielskich, spotkały się z oporem konserwatywnych ojców, którzy przekonywali, że więcej czasu w domu jest dla mężczyzny nienaturalne. Odpowiadały im wtedy: „To przecież wy ciągle powtarzacie, jak ważna jest rodzina. Jak więc możecie sprzeciwiać się rozwiązaniom, które zwiększają rolę ojca?”

Odebrało im to argumenty? W końcu poparli zmiany. I tak właśnie należy rozmawiać z konserwatystami. Kiedy w Danii ukazała się moja książka, wielu z nich przyznawało: „Możemy się z nią nie zgadzać w kwestiach LGBTQ, ale ma całkowitą rację, gdy mówi, że zbudowaliśmy społeczeństwo, które nie ceni rodziny, przyjaźni i wspólnoty lokalnej. My też to dostrzegamy”. Sądzę, że możemy znaleźć płaszczyznę porozumienia. Miałam okazję obserwować to w różnych krajach Europy: ludzie, którzy na co dzień się nie znosili, zgodnie twierdzili, że rodzice mają za mało czasu dla dzieci, że nie możemy akceptować przepełnionych szkół, a sposób, w jaki traktujemy seniorów, jest nie do przyjęcia. Niezależnie od różnic możemy się zgodzić, że pielęgniarki, lekarze i nauczyciele zasługują na godziwe wynagrodzenie i na to, by pracować w dobrych warunkach, zaś osobom starszym należy się odpowiednia opieka.

Poprawa jakości opieki zdrowotnej i edukacji wymaga wyższych podatków lub przesunięcia pieniędzy z innych obszarów. Co powiedziałaaby pani komuś, kto zgadza się z pani diagnozą, ale nie chce dorzucać więcej do fiskusa i oburza go rosnący deficyt? Nie miałabym nic przeciwko płaceniu wyższych podatków, gdybym widziała, że moje pieniądze idą na coś, co realnie poprawia moje życie. Właśnie na tym polega dziś główny problem w Europie: oddajemy fiskusowi sporą część dochodów, a mimo to szkoły czy szpitale nie działają lepiej. To rodzi ogromną frustrację. Sądzę, że nie doceniamy znaczenia inwestycji w usługi publiczne dla długofalowego rozwoju. Protesty we Francji to pokłosie m.in. tego, że w ostatnim 10-leciu wydatki na szkolnictwo w przeliczeniu na jednego

ucznia spadły tam o 20 proc. Słynny ekonomista Thomas Piketty napisał niedawno, że trudno zbudować dynamiczną gospodarkę, jeśli młodzi ludzie nie mają dostępu do wysokiej jakości edukacji. Kiedy ograniczamy wydatki, nie oszczędzamy, lecz rezygnujemy z dochodów, które moglibyśmy osiągnąć w przyszłości. Spójrzmy na kraje skandynawskie. Mają one większe znaczenie, niż wskazywałyby na to ich rozmiary, co zawdzięczają m.in. dobremu szkółom i systemowi opiekuńczemu. Urodzenie dziecka z niepełnosprawnością nie przekreśli tam twojej kariery zawodowej. Jeśli zachorujesz na raka, masz sporą szansę wyzdrowieć i wrócić do pracy. Tyle mówi się o tym, że sektor prywatny finansuje publiczny, a nie dostrzega się wartości, jaką sektor publiczny zapewnia prywatnemu. Przez ostatnie lata tak bardzo skupiano się na re-industrializacji, że zapomniano o tym, skąd wziąć ludzi z odpowiednimi kwalifikacjami, którzy będą pracować w fabrykach. Niemcy są tu doskonałym przykładem. Kraj, który uchodził za potęgę przemysłową, całkowicie zaniedbał edukację i opiekę. W rezultacie wiele obszarów gospodarki stanęło w miejscu.

W polskim systemie oświaty narastają nierówności. Coraz więcej dobrze sytuowanych rodziców wysyła dzieci do prywatnych szkół, a razem z nimi z państwowych placówek uciekają najlepsi nauczyciele. Skutki widać już w wynikach egzaminów i olimpiad. Czy w Danii istnieje podobne zjawisko?

Tak, to ogromny problem. Już pierwsi teoretycy państwa opiekuńczego w Skandynawii poświęcili całe rozdziały temu, jak ważne jest, by dzieci z bogatych rodzin również chodziły do publicznych szkół. To nie tylko sprzyja kontaktom między różnymi środowiskami i ogranicza segregację społeczną, lecz także przekłada się na wyższe finansowanie. Jeśli zamożny i wpływowy rodzic widzi, że szkoła nie spełnia odpowiednich standardów, oburza się i zaczyna działać: zbiera pieniądze, naciska na polityków. Kiedy w placówce zostają dzieci z niezamożnych domów, jej jakość się pogarsza. W Skandynawii wykształcenie wszystkich obywateli jest uważane za kluczowe dla gospodarki. Nie musisz mieć wiedzy z makroekonomii, żeby prowadzić mały sklep. Ale jeśli się na niej znasz, masz większą szansę, że przekujesz go w duży biznes. Dobrze wykształceni ludzie podnoszą jakość usług i doskonałe sposoby pracy. To jeden z filarów sukcesu Skandynawii. ©



Emma Holten

autorka, mówczyni, działaczka feministyczna. Była m.in. członkiem forum ekspertów Europejskiego Instytutu ds. Równości Kobiet i Mężczyzn. Od 2023 r. doradza rządowemu zespołowi badającemu stosunki władzy w Danii



FOT. PGAM/E+/GETTY IMAGES

Trading to też hazard

Nie twierdzę, że gry hazardowe są po prostu uzależniające. Aby tak się stało, trzeba mieć w sobie specyficzne podatność i wrażliwość

Z Markiem

Griffithsem

rozmawia Krzysztof Kropidłowski

Od lat bada pan hazard – jakie najważniejsze zmiany zaobserwował pan w tej branży?

Już od 40 lat zajmuję się badaniem hazardu. Największą dla mnie zmianą jest jego przeniesienie do internetu. Jeśli jest się podatnym na uzależnienie, obstawianie online jest o wiele niebezpieczniejsze. Teoretycznie może pan przecież grać przez całą dobę – i tak dzień w dzień. Każdy, kto ma problem z hazardem, a nosi przy sobie smartfon, ma także w kieszeni kasyno lub bukmachera.

Internet to także nieustanne transmisje różnych wydarzeń sportowych...

Tak, niecałe 10 lat temu zakłady na żywo nie istniały. A to one zrewolucjonizowały sposób, w jaki ludzie

obstawiają wydarzenia sportowe. Weźmy na przykład zakłady na piłkę nożną – kiedyś były one w zasadzie weekendową rozrywką, a obstawiało się po prostu, czy dana drużyna wygra, czy przegra, czy też będzie remis. Jeśli, jak ja, w niedzielne popołudnie ogląda pan trzy mecze piłki nożnej jeden po drugim, to może pan obecnie obstawiać zakłady nieprzerwanie przez siedem godzin, składając ich całe setki (np. czy gol padnie w pierwszej połowie, w której minucie będzie pierwsza żółta kartka itp. – red.). Możliwość ciągłego obstawiania zakładów sprawia, że takie formy hazardu są bardziej uzależniające.

Powszechność internetu sprawiła, że hazard stał się jeszcze bardziej uzależniający?

Sama dostępność do niego nie stanowi problemu dla większości z nas. Wiele zależy od podatności na uzależnienie. Mógłbym grać na automatach codziennie przez cały miesiąc, ale

nie uzależnię się od hazardu dzięki moim cechom osobowościowym i genetycznym. Z kolei dostępność, która łączy się z wysoką częstotliwością gry, sprawia, że dla osoby podatnej na uzależnienia automaty online będą stanowić potencjalnie bardzo duże zagrożenie. Nie twierdzę, że gry hazardowe są po prostu uzależniające. By tak się stało, trzeba mieć w sobie specyficzne podatność i wrażliwość.

Co jeszcze sprawia, że gry hazardowe stają się coraz bardziej uzależniające?

Kolejnym czynnikiem jest możliwość szybkiego i częstego zdobycia nagrody. Właśnie dlatego automaty do gry, na których można obstawiać 10 razy na minutę, a nawet 30 razy na minutę w przypadku automatów online, są takie uzależniające.

Kiedy kończy się rekreacyjna gra, a zaczyna hazard problemowy? Jest wiele definicji. Jeśli porozmawia pan z kimś z rządu Nowej Zelandii, to usłyszysz, że hazard problemowy to każda sytuacja, w której u gracza występuje jakikolwiek kłopot, nawet najmniejszy. Nie do końca się z tym zgadzam. Jeśli pana problemem jest np. to, że żona nie lubi, gdy pan obstawia, i dochodzi między wami do kłótni, to moim zdaniem nie oznacza to od razu problemów z hazardem. Oczywiście wszyscy uzależnieni od hazardu są graczami z problemami, ale nie wszyscy gracze z problemami są uzależnieni od hazardu.

Czym w takim razie objawia się uzależnienie od hazardu?

Jestem prawdopodobnie najbardziej znany z opracowania modelu komponentów uzależnienia. W przypadku hazardu uzależnionych opisałbym jako traktujących go jak najważniejszą rzecz w swoim życiu, używających hazardu, by zmieniać nastrój – poczuć ekscytację lub, przeciwnie, się uspokoić. Wyrabiają oni tolerancję na bodźce z gry, więc z czasem muszą zwiększać intensywność tych zachowań, aby uzyskać takie same doznania zmieniające nastrój. Jeśli nie mogą uprawiać hazardu, odczuwają większą drażliwość, niepokój i frustrację. Jeśli ponownie zechcą się zajmować hazardem, wrócą do tych samych cykli uzależnienia, niezależnie od tego, jak długo wstrzymywali się od gry. Hazard jest dla nich taki ważny, że wpływa negatywnie na pracę lub edukację, a także na relacje z otaczającymi ich ludźmi. To najważniejsza część definicji – czują konflikt, bo zdają sobie sprawę, że poświęcają tej czynności za dużo czasu. Odczuwają subiektywną utratę kontroli i uważają, że nie są zdolni przestać.

Wspomniał pan o nowych formach hazardu. Czy trading – krótkoterminowy, spekulacyjny handel instrumentami finansowymi, takimi jak: akcje, waluty, surowce czy kryptowaluty – jest jedną z nich? Według mnie każda działalność, w której stawia się pieniądze lub coś

o wartości finansowej na przyszłe wydarzenie, którego wyniku nie znamy, jest formą hazardu. Naukowcy dość długo nie badali tradingu. Kłasyfikując formy hazardu, większość z nas umieszczała je w czterech kategoriach: loterie, gry hazardowe, zakłady bukmacherskie i spekulacje. Trading zaliczano do spekulacji, a nimi naukowcy się nie zajmowali.

Co się zmieniło?

Nauka zmieniła podejście do badania tradingu ok. 15 lat temu. Wtedy w centrum zainteresowania znalazły się zakłady na różnicę kursu (spread betting). Nagle można było obstawiać w taki sam sposób, w jaki wcześniej robiono to na giełdzie. Kiedy zaczęliśmy się przyglądać spekulacji w kontekście sportu, stwierdziliśmy: „Właściwie to możemy teraz spojrzeć na to przez pryzmat day tradingu” z uwagi na to, że obecnie mamy aplikacje i można bez przerwy obracać instrumentami finansowymi czy zakładami.

Czy uważa pan, że operatorzy gier hazardowych celowo projektują gry i platformy bukmacherskie tak, by były uzależniające?

Oczywiście. Każda organizacja komercyjna ma jeden nadrzędny cel: zatrzymać klienta u siebie tak długo, jak to tylko możliwe. Wykorzystuje się do tego wszelkie możliwe sztuczki psychologiczne, od doboru kolorów po oferowane gry. Czasem na stronach z grami pojawiają się wizerunki skąpo ubranych kobiet. Dla niektórych może to być zniechęcające. Natomiast innych może zachęcić do gry właśnie na tej konkretnej stronie. Wykorzystuje się więc wszystko, co się da, aby zatrzymać użytkowników tak długo, jak to możliwe.

Pomógł pan rozwijać narzędzia ochrony graczy.

Jak one wyglądają?

Razem z Michaeliem Auerem, moim doktorantem, opracowaliśmy oprogramowanie Mentor. Auer wprowadził je na rynek, ja interesowałem się tematem wyłącznie z akademickiego punktu widzenia. Mentor monitoruje zachowania użytkowników, a następnie informuje operatorów gier hazardowych, że wśród ich klientów może się rozwijać uzależnienie. Mentor alarmuje, jeśli użytkownik przeznaczą na grę więcej czasu lub pieniędzy niż zwykle. W sumie oprogramowanie bada aż 40 różnych parametrów zachowania użytkownika. Różni się od innych rozwiązań, np. od szwedzkiego Playscan, bo da się przesłać i wyjaśnić jego reguły decyzyjne. Ma określone zasady zawiadamiania operatorów o ryzyku, np. jeśli osoba spędza co najmniej o 10 proc. więcej czasu w grze niż zwykle.

Celem operatorów jest zatrzymanie użytkowników jak najdłużej na platformie. Co więc skłania ich do używania narzędzi, które mają ten czas skracać?

Licencje. Firmy hazardowe, aby móc prowadzić działalność, muszą wykazać przed regulatorami, >

że podejmują działania chroniące graczy. Właśnie dlatego posiadanie narzędzi do śledzenia zachowań graczy jest jednym ze sposobów, by pokazać, że poważnie podchodzą do kwestii zapobiegania i ograniczania hazardu problemowego. To opłaca się także firmom już działającym – w Wielkiej Brytanii, w przypadku zaniedbania obowiązku dbałości nawet wobec jednego klienta, grozi wysoka grzywna (w Wielkiej Brytanii obowiązek dbałości o klienta obejmuje m.in. wykrywanie sygnałów problemowej gry, kontrole możliwości finansowych gracza oraz interwencje wobec zagrożonych osób – red.).

Czy dałoby się w ogóle powstrzymać społeczeństwo od hazardu? Nie. Nawet gdybyśmy go zakazali, przeniósłby się do szarej strefy. Ludzie zawsze będą chcieli uprawiać hazard, musimy więc działać w obrębie systemu. Konieczne są odpowiednie regulacje i środki ochronne. W ciągu ostatnich 12 lat wraz z Auerem badaliśmy, czy są skuteczne takie rozwiązania jak: ustalanie limitów, obowiązkowe przerwy w grze, spersonalizowane komunikaty czy wyskakujące powiadomienia.

Które okazało się najskuteczniejsze? Najskuteczniejsza wydaje się spersonalizowana interwencja. Gdy wyświetla się komunikat: „W ciągu

ostatnich sześciu miesięcy wydałeś znacznie więcej pieniędzy niż większość osób na tej stronie”. Takie dane porównujące z innymi najbardziej pomagają w ograniczeniu ilości czasu i pieniędzy, jakie zainteresowani poświęcają na hazard. Dobrym narzędziem jest ustalanie limitów pieniędzy, które można wydać, np. w Norwegii nie można stracić więcej niż równowartość 2 tys. euro miesięcznie, co dla mnie nadal stanowi bardzo wysoką kwotę.

Które z badanych narzędzi były mniej skuteczne? Wpływ obowiązkowych przerw w grze zależy od długości. Bardzo krótkie, np. 30 sekund lub 5 minut są niewystarczające. Piętnastominutowa lub godzinna przerwa wydaje się skuteczniejsza. Z kolei wyskakujące komunikaty, np. „Rozegrałeś właśnie 1 tys. gier na automacie – czy chcesz przestać?”, działają tylko na ok. 1 proc. graczy. Problemem jest to, że narzędzia odpowiedzialnej gry są dobrowolne w większości krajów (w Polsce limit czasu i środków jest obowiązkowy – red.), z wyjątkiem m.in. Norwegii i Szwecji. Jestem za tym, by był obowiązkowy. Jeśli jego stosowanie jest dobrowolne, większość ludzi z niego po prostu nie korzysta.

Czy model norweski lub szwedzki może w jakiś sposób ograniczać

swobody osób korzystających z tych stron? Czy może jest to dla pana akceptowalny kompromis? To uczciwy kompromis. Niezależnie od tego, czy chodzi o alkohol, hazard czy nikotynę, jeśli oferuje pan produkt, który ma negatywny wpływ na niewielką choćby część klientów, ma pan obowiązek dbać o ich ochronę. Jeśli przebywa pan w Norwegii, firma Norsk Tipping ma monopol na hazard, więc niezależnie od tego, czy chce pan kupić los na loterię, czy zagrać na automatach, musi pan to zrobić w ramach oferty Norsk Tipping. Nie oznacza to jednak, że gracze nie mogą korzystać z internetu i grać np. u brytyjskiego operatora. Jednak z badań jakościowych, które przeprowadziliśmy wśród graczy Norsk Tipping oraz Svenska Spel w Szwecji, wynika, że faktycznie doceniają oni to, że mogą operatorowi ufać. Wiedzą, że stosuje on zasady i procedury odpowiedzialnej gry, więc czują się bezpieczni. W Wielkiej Brytanii zmierzamy do tego, by operatorzy udostępniali sobie informacje o potencjalnym problemie hazardowym gracza. Taki gracz nie będzie mógł grać na żadnej innej legalnej stronie w Wielkiej Brytanii. Podobne rozwiązanie jest budowane w Niemczech. Wróćmy więc do pytania – tak, obowiązkowe narzędzie ogranicza indywidualną wolność. Ale jego cel to ochrona. Dorastałem w latach 70.,

kiedy w samochodach nie było pasów bezpieczeństwa. Teraz je mamy, mamy także poduszki powietrzne. Nie przyszłoby mi nawet do głowy, żeby teraz wsiąść do samochodu bez zapięcia pasów. Rozwiązania, które mają na celu ochronę użytkowników, stają się czymś naturalnym. ©

Wywiad powstał w ramach projektu stypendialnego, który jest dofinansowywany ze środków Funduszu Rozwiązywania Problemów Hazardowych na zlecenie Krajowego Centrum Przeciwdziałania Uzależnieniom.

Osoby, które doświadczają trudności związanych z hazardem, a także ich bliscy, mogą uzyskać wsparcie:

801 889 880 – telefon zaufania uzależnień behawioralnych. Czynny codziennie w godz. 17–22.

Poradnia online – <https://uzaleznieniabehawioralne.pl>



FOT. MAT. PRASOWE

Mark

Griffiths

emerytowany profesor w dziedzinie uzależnień behawioralnych na Nottingham Trent University, dyplomowany psycholog i dyrektor International Gaming Research

REKLAMA

T·E·A·T·R CAPITOL E·V·E·N·T·S

Wyreżyserujemy Twój event

50–930 gości

- prywatny spektakl
- unikalne wnętrza
- autorskie menu
- dedykowany event manager

www.teatrcapitol.pl/eventy

Patroni Medialni:

Partnerzy Teatru:

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42

Kultura

Muzea walczące

Rosjanie zrabowali z ukraińskich muzeów i galerii prawie pół miliona dzieł sztuki. Niewykluczone, że część z nich nielegalnie trafiła w ręce prywatnych kolekcjonerów

Obłożony workami z piaskiem pomnik gubernatora Odessy księcia de Richelieu. Odessa, 10 marca 2022 r.



Karolina

Nowakowska

Do położonego w południowej Ukrainie Chersonia rosyjskie czołgi wjechały 2 marca 2022 r. Jeszcze tego samego dnia żołnierze wroga wtargnęli do Chersońskiego Obwodowego Muzeum Sztuki im. Ołeksija Szowkunienki. – Wdarli się do środka, grożąc policjantom pełniącemu wartę. Interesowała ich konstrukcja naszego budynku pod kątem możliwości przekształcenia go w obiekt wojskowy – wspomina główna kustoszka muzeum Hanna Prokopczuk.

Ponieważ nie udało się ewakuować zbiorów przed zajęciem miasta, muzealnicy postanowili przenieść wszystkie bazy z komputera Prokopczuk na oddzielny dysk i ukryć go w bezpiecznym miejscu, a oryginalne pliki skasować. Aby zyskać na czasie i uniemożliwić okupantom dostęp do zbiorów, rozpowszechniono fałszywą informację, że eksponaty zostały wcześniej wywiezione w związku z renowacją budynku. W rezultacie przez prawie pięć miesięcy Rosjanie sądzili, że placówka jest pusta. Tymczasem muzealnicy planowali kolejne działania ratunkowe. – Dzięki wysiłkom pracowników eksponaty z sal wystawowych na drugim i trzecim piętrze zostały przeniesione na pierwsze piętro, zapakowane i umieszczone w magazynach – opowiada Prokopczuk.

Czarny scenariusz dla muzeum ziścił się 19 lipca 2022 r., kiedy Rosjanie postanowili jednak zająć zabytkowy

gmach. Władze okupacyjne mianowały również nową dyrektorkę placówki: Natalię Desiatową, wyłonioną spośród lokalnych ukraińskich kolaborantów. Jesienią Rosjanie splądrowali muzeum i wywieźli zbiory kilkoma dużymi ciężarówkami. Grabieże pod okiem uzbrojonych w karabiny maszynowe „cywilów” prowadzono pod hasłami „zachowania wartości kulturowych”. Do odbicia Chersonia przez Ukraińców 11 listopada 2022 r. wojska rosyjskie zdążyły wykraść większość cennych dzieł. Nie wiadomo, czy wszystkie obiekty przetrwały. Niewykluczone, że część nielegalnie trafiła w ręce prywatnych kolekcjonerów. – Przed rosyjską inwazją na pełną skalę zbiory Chersońskiego Obwodowego Muzeum Sztuki liczyły do 14 tys. eksponatów. Ukradziono i wywieziono ok. 11 tys. z nich: dzieła malarstwa, ikonografii i grafiki z XVII–XXI w. autorstwa artystów z Europy, ZSRR i Ukrainy. Skradziono dzieła sztuki m.in. takich twórców, jak: Pymonenko, Ajwazowski, Hluszczenko, Jablonska i Serebriakowa. W wyniku splądrowania muzeum utracono ponad 80 proc. kolekcji – szacuje Prokopczuk. Po odbiciu miasta zabytkowy gmach był wielokrotnie ostrzeliwany przez armię rosyjską.

Muzeum Historyczne we Lwowie, jedno z najstarszych i najbogatszych w kraju, miało więcej szczęścia. Wojska wroga nie dotarły do miasta i udało się zabezpieczyć cenne eksponaty. – Po wybuchu wojny na pełną skalę muzeum zamknęło się dla zwiedzających, a wszystkie wysiłki skoncentrowano na ochronie zbiorów i pracowników. W pierwszych tygodniach zdemontowaliśmy stałą ekspozycję. Nie chodziło tylko o zdjęcie obrazów ze ścian, lecz także o ich zabezpieczenie w przystosowanych piwnicach lub pomieszczeniach na parterze. Najwyższe piętra budynków są zawsze najbardziej narażone – mówi dyrektor muzeum dr hab. Roman Czmełyk. Jak dodaje, placówka otrzymała pomoc od polskich i litewskich muzealników oraz instytucji w Szwajcarii i Szwecji. – Każdy przedmiot, od papieru po broń i szkło, wymagał odpowiednich warunków przechowywania. Muzeum Zamku Królewskiego na Wawelu przygotowało dla nas specjalne skrzynie ewakuacyjne, za co jestem bardzo wdzięczny dyrektorowi Andrzejowi Betlejowi. Była to wspólna międzynarodowa reakcja w celu ratowania ukraińskiego dziedzictwa kulturowego – podkreśla Czmełyk.

Według resortu kultury na okupowanych przez Rosję terytoriach pozostaje łącznie ponad 2,1 mln eksponatów z ukraińskich muzeów

Kultura na celowniku Rosji

„Na tymczasowo okupowanych terenach siły rosyjskie celowo starają się zniszczyć ukraińską tożsamość, zakazując używania ukraińskich symboli, usuwając ukraińskojęzyczne podręczniki oraz ukraińską literaturę historyczną i piękną z bibliotek, a także przymusowo wprowadzając rosyjskie programy nauczania w placówkach edukacyjnych wszystkich szczebli” – pisze w komentarzu dla Instytutu Europy Środkowej dr Hanna Bazhenova z Instytutu Stosunków Międzynarodowych UMCS w Lublinie. Ekspertka podkreśla ogromną skalę grabieży: według ukraińskiego Ministerstwa Kultury i Polityki Informacyjnej do końca 2023 r. Rosjanie skradli ponad 480 tys. dzieł sztuki. Najnowsze statystyki wskazują, że do października 2026 r. ataki powietrzne spowodowały uszkodzenie lub zniszczenie 2161 zabytkowych obiektów i 2665 instytucji kulturalnych, wśród nich 917 bibliotek, 197 szkół artystycznych, 140 muzeów i galerii, 57 teatrów, kin i filharmonii oraz studia filmowego w Kijowie. Największe zniszczenia w infrastrukturze kulturalnej odnotowano w obwodach donieckim, charkowskim, chersońskim, sumskim, kijowskim i zaporoskim.

Na okupowanych od 2014 r. terytoriach Ukrainy Rosja podjęła działania mające na celu sformalizowanie kontroli nad zagrabionymi zbiorami. W 2023 r. zmieniono przepisy, ▷

aby włączyć do narodowego katalogu 77 ukraińskich muzeów z obwodów donieckiego, ługańskiego i części obwodów chersońskiego i zaporoskiego. „To krok, który zdaniem krytyków skutecznie uniemożliwia zwrot zrabowanych dzieł” – pisała agencja Associated Press. Według resortu kultury na okupowanych przez Rosję terytoriach pozostaje łącznie ponad 2,1 mln eksponatów z ukraińskich muzeów. Na obszarach odbitych przez Ukraińców zrabowano ponad 35 tys. przedmiotów. Minister kultury i wicepremier Tetiana Bereżna stwierdziła w rozmowie z AP, że priorytetem jej resortu w zakresie ochrony dziedzictwa kulturowego jest cyfryzacja zbiorów. – Gdybyśmy wcześniej je zdigitalizowali, wiedzielibyśmy, ile obiektów zostało skradzionych i jak one wyglądają – przyznała.

Od pierwszych miesięcy inwazji ukraińskie organy ścigania, prawnicy i organizacje społeczne zbierają dowody na potrzeby ścigania odpowiedzialnych za niszczenie dziedzictwa kulturowego: katalogują skradzione dzieła, docierają do świadków grabieży oraz poszukują zdjęć i nagrań dokumentujących obecność ukraińskich eksponatów w muzeach na Krymie i w Rosji. Aby zapobiec nielegalnemu handlowi dobrami kultury, Kijów nawiązał współpracę z wieloma rządami i organizacjami, takimi jak Międzynarodowa Rada Muzeów, która wraz z 11 ukraińskimi placówkami opracowała czerwoną listę cennych przedmiotów szczególnie narażonych na wywóz za granicę, na której widnieją m.in. znaleziska archeologiczne, rękopisy, numizmaty, dzieła sztuki ludowej i malarstwo awangardowe. Resort kultury współpracuje m.in. z The Art Loss Register, największą na świecie bazą skradzionych dzieł sztuki, w której znajduje się już ponad 2 tys. ukraińskich eksponatów.

W Chersońskim Muzeum Sztuki proces dokumentowania skutków rosyjskiej grabieży rozpoczął się w pierwszych dniach po wyzwoleniu miasta. – Administracja placówki współpracuje z władzami, krajowymi organami ścigania i Interpołem. Policja wszczęła postępowania karne. Nagłośnienie tego strasznego procederu również ma ogromne znaczenie. Świat musi wiedzieć, że Rosjanie niszczą i plądrują szkoły, szpitale, biblioteki, muzea, kościoły i domy – mówi Prokopczuk.

Hanna Bazhenova zwraca uwagę, że ataki na obiekty kulturalne „mogą być kwalifikowane, w zależności od okoliczności, jako zbrodnie wojenne (m.in. w przypadku nieusprawiedliwienia konieczności wojskowej i naruszenia zasady rozróżnienia celów wojskowych od obiektów cywilnych), zbrodnie przeciwko ludzkości (w przypadku ich systematyczności) lub ludobójstwo (gdy są częścią polityki niszczenia tożsamości)”.

Artykuł 8 statutu Międzynarodowego Trybunału Karnego stanowi, że zbrodnie wojenne obejmują m.in. bezpośrednie ataki na budynki przeznaczone na cele religijne, edukacyjne, artystyczne, naukowe, charytatywne i budynki zabytkowe. Wielu ekspertów określa grabież i niszczenie ukraińskiego dziedzictwa przez Rosję jako ludobójstwo kulturowe. Na łamach „Wiedzy obron-

nej” dr Magdalena Maksymiuk z Wydziału Prawa i Administracji UKSW podkreśla, że „jest to działanie systematyczne, mające na celu wymazanie tożsamości historycznej i kulturowej Ukrainy”. Przypomina też, że w październiku 2024 r. Rada Europy stwierdziła, iż rosyjskie ataki na muzea i inne instytucje kultury są zgodne z definicją ludobójstwa.

Nowa rola muzeów

Uratowana część kolekcji Muzeum Sztuki w Chersoniu została przewieziona w głąb kraju. Jego pracownicy są obecnie zajęci wypełnianiem dokumentacji dotyczącej skradzionych przedmiotów. Na zdjęciach i materiałach wideo z rosyjskich mediów udało się dotąd zidentyfikować 130 utraconych eksponatów. Prokopczuk ujawnia, że odnalazły się one w Centralnym Muzeum Taurydy w Symferopolu.

Pomimo trwającej wojny placówka w Chersoniu znalazła nowe formy działania – organizuje np. wędrujące wystawy fotografii, nagrań i grafik pokazujących zrabowane eksponaty. – Artyści, którym los Ukrainy nie jest obojętny, połączyli siły w ramach projektu pod patronatem kuratorki Oleny Balaby „Chersoń: NIE/skradzione: studia i hold”. W Kijowie odbyła się wystawa „Powrót pamięci”, prezentująca grafiki artystyczne wykonane przez Vivid Fusion Art na podstawie materiałów fotograficznych dokumentujących skradzione dzieła wybitnych ukraińskich twórców – opowiada Prokopczuk. – Szczególnie wzruszające są spotkania z mieszkańcami Chersonia, którzy w wyniku wojny musieli opuścić swoje domy. Są wdzięczni za miłe wspomnienia z przeszłego, spokojnego życia oraz nadzieję na zwycięstwo – dodaje. Podkreśla, że takie wystawy wzmacniają poczucie duchowej wspólnoty oraz przypominają o heroicznej historii i ukraińskich korzeniach.

Poza ostrzałem i grabieżą muzea borykają się z innymi problemami. Według dr hab. Czmetyka na obecnym etapie wojny kluczowe jest nie tylko bezpieczeństwo zbiorów, lecz także długoterminowa żywotność instytucji. To wymaga utrzymania profesjonalnego zespołu, pozyskiwania dodatkowych źródeł finansowania, modernizacji technologii i dbania o wartościową ofertę. Ponadto muzea muszą się dostosowywać do zmieniającej się publiczności, wśród której przybyło żołnierzy, weteranów i osób ze specjalnymi potrzebami. Jednocześnie instytucje tracą coraz więcej pracowników. – Jeden z naszych kolegów, Mykoła Majorchak, zginął, broniąc Ukrainy. Dwóch pracowników powróciło z frontu z obrażeniami. Obecnie czterech naszych kolegów służy w Siłach Zbrojnych Ukrainy – wymienia.

W warunkach wojennych zmieniła się także rola instytucji kultury. Czmetyk mówi, że dziś najważniejszymi zadaniami jego muzeum są dokumentowanie trwającej inwazji i przeciwdziałanie rosyjskiej dezinformacji. – Udowadniamy, że muzeum w czasie wojny to nie tylko sanktuarium historii, lecz także aktywny uczestnik społecznego oporu – podkreśla. ©

Historia

Rzeczy, które mówią

Każdy przedmiot może się stać pamiątką po nas, wspomnieniem tego, co kochamy, opowieścią o naszych przyzwyczajeniach. Ale równie dobrze może się zamienić w ślad po historii narodu



Sebastian

Pawlina

Oto dwa śluby. Każdy inny, tak jak różni byli państwo młodzi i czas. Pierwsi byli Elida Maria Szarota i Rafał Marceli Blüth, którzy 7 grudnia 1938 r. powiedzieli sobie „tak” w warszawskim Kościele św. Aleksandra na Pl. Trzech Krzyży. Jak to u progu zimy było chłodno i raczej ponuro. Słońce zaszło tamtego dnia jeszcze przed godz. 16. Zupełnie inaczej było w 1940 r., gdy późną wiosną na ślubnym kobiercu stanęli Wanda Iwanowska oraz Stanisław Leopold. Oboje młodzi, oboje pełni ideałów, oboje związani z konspiracją niemalże od początku okupacji.

Wojna najpierw przyszła po Rafała Marceliego i Elidę Marię. I zrobiła to w najgorszy możliwy sposób, bo przez przypadek. Mieszkali wówczas w kamienicy w Al. Ujazdowskich 17. Tuż pod ich oknami 5 października 1939 r. niemieckie oddziały miały przedefilować przed Adolfem Hitlerem. Niemcy przeszukali wszystkie domy i miesz-

kania na trasie przemarszu parady. Dzień przed wydarzeniem pojawili się u Blüthów. Podczas przeszukania znaleźli m.in. tłumaczenie sztuki teatralnej znajdującej się na indeksie książek zakazanych w III Rzeszy. Wtedy nie zareagowali, ale 6 października przyszli ponownie, zabierając małżonków na Al. Szucha, gdzie już urzędowała niemiecka policja bezpieczeństwa. Elida Maria, ponieważ była w ciąży, została zwolniona do domu. Jej mąż już nigdy nie wyszedł. 17 listopada, choć data nie jest pewna, Niemcy rozstrzelali go w lesie w podwarszawskim Natolinie.

Los Stanisława dopełnił się kilka lat później, latem 1944 r. Od pierwszego dnia Powstania Warszawskiego walczył w szeregach legendarnego batalionu „Parasol”. Najpierw na Woli, potem na Starym Mieście, dokonując wielokrotnie – to ładna formułka, równie pompatyczna, co prawdziwa – aktów bohaterstwa. Jako dowódca kompanii dbał o żołnierzy. Zginął 25 sierpnia.

Rafała Marceliego Niemcy pochovali w nieoznaczonej, zbiorowej mogile. Chcieli ukryć swoją zbrodnię. Stanisława koledzy z oddziału złoży-

li w jednym z tysięcy podobnych powstańczych grobów, płytkich, z krzyżem zbitym z desek. Nie minął rok, a został przeniesiony na Powązki Wojskowe, gdzie spoczywa do dzisiaj. Ciało Blütha odnaleziono dopiero w 1971 r.

Ich żony po ekshumacji dostały dwa podobne przedmioty – obrączki.

Pamięć prywatna

„Pamiętam ten moment, dramatyczną chwilę, gdy sędzia Kwiatkowska położyła przed nami obrączkę wydobytą z mogiły, obrączkę z inicjałami mamy. Mamie drżały ręce, panowała cisza. 30 lat dla dojrzałych ludzi to wcale nie jest tak dużo” – wspominał moment przekazania Tomasz Szarota, historyk, syn Rafała Marceliego i Elidy

Rzeczy osobiste ofiar
prezentowane w Muzeum
Katyńskim w Warszawie

Marii. Odzyskana po trzech dekadach złota obrączka była dla kobiety jedną z niewielu materialnych pamiątek po mężu. Z powstańczej pożogi ocalały zaledwie trzy jego zdjęcia. No i ta obrączka. Z miejsca stała się czymś bardzo ważnym. Ten stan trwał krótko. „Włożyła [ją] na palec, jak relikwię, a ponieważ miała drobniejsze dłonie, obrączka gdzieś spadła. Po dwóch dniach noszenia! No niestety. Było mi przykro. Jej na pewno też. Bardzo” – dopowiadała historię Szarota.

Dłużej, bo do dzisiaj, w rodzinie Wandy – która po wojnie ponownie wyszła za mąż – funkcjonują obrączki jej i Stanisława. Nie tak bogate jak te Blüthów, proste, tombakowe. Ale tak jak tamte dwie złote były i są elementami minionego życia, świadectwem szczęścia – krótkiego, ale prawdziwego, dzięki tym obrączkom wręcz namacalnego. To ważne w procesie przechodzenia przez traumę po stracie. Rozpacz może podważyć sens doświadczeń. Po co tworzyć bliskie więzi, jeśli finalnie i tak kończą się śmiercią? Ano właśnie po to, żeby przeżywać też te dobre chwile, o których przypominają nam pamiątki.

Znakomicie widać to w „Rzeczach, którym nie wyrzuciłem”, literackim majstersztyku Marcina Wiche, który pokazywał, w jak różnych przedmiotach może się kryć pamięć. To nie musi być coś tak szczególnego i osobistego jak obrączki. To mogą być książki, kartka z zapisanymi przepisami kulinarnymi, odkurzacze, ubranie, krzesło. Nośniki pamięci, inaczej niż zabytki historyczne, nie mają bowiem obowiązku posiadania szczególnych cech artystycznych. Nie oczekujemy od nich, że będą wyjątkowe w skali światowej ani że można im przypisać udział w wydarzeniach zmieniających bieg historii. Nawet Słownik języka polskiego PWN definiuje pamiątkę jako „drobny przedmiot przypominający jakąś osobę, jakieś miejsce lub zdarzenie”. Nośnik, na którym czytają państwo ten tekst, niezależnie, czy to papier, komputer, czy urządzenie potocznie zwane telefonem, również może się stać pamiątką. Ale tak jak wszystko może nią być, tak i ona może opowiadać różne historie.

Dla Wandy Leopold te dwie tombakowe obrączki, wspomnienie życia ze Stanisławem, były opowieścią o szczęściu i tragedii. Dla żyjących do dzisiaj członków jej drugiej rodziny mogą być jednak czymś zupełnie innym. Bo historie schowane w przedmiotach nigdy nie są stałe. Zmieniają się – czasem przypadkowo, innym razem pod wpływem świadomych działań.

Krótko przed wybuchem powstania warszawskiego, w lipcu 1944 r., Tadeusz Wiwatowski, oficer Armii Krajowej, dowódca jednego z warszawskich oddziałów dywersyjnych, przekazał obrączki nieżyjących od dawna rodziców jednemu ze swoich żołnierzy. Był nim Leon Zubrzycki, który szykował się właśnie do ożenku. To jedna z tych historii, w których więcej nie wiemy, niż wiemy. Nie znamy imienia i nazwiska narzeczonej, nie mamy nawet pewności, czy do ślubu doszło. Wiwatowski zginął 11 sierpnia, Zubrzycki niewiele później ▷



FOT. TOMASZ GZEL/PAP

– 31 sierpnia. Nie ma więc od kogo zdobyć potwierdzenia. Ale gdyby obaj przeżyli, gdyby ślub się odbył, to czyją pamiątką byłyby obrączki? Wiwatowskiego po rodzicach? Zubrzyckiego i jego żony po ślubie i wspólnym życiu? Oba czy któregoś bardziej?

Finalnie obrączki, choć ślad po nich zaginął, przyjęły na siebie trzy różne opowieści. Pierwsza to ta o rodzinie Wiwatowskiego. Druga o miłości Zubrzyckiego i jego narzeczonej oraz o Tadeuszu, który, chcąc sprawić im przyjemność, podarował im coś cenniego dla siebie samego. I w końcu trzecia opowieść – o narodowej tragedii.

Strzępy pamięci

To, co jest sentymentalną pamiątką rodzinną, w odpowiednich warunkach może się stać pamiątką historyczną. Michał Mencfel, historyk sztuki, w „Szaleństwie upamiętniania” tłumaczy, że niezbędna do tego jest obróbka kulturowa. Jako jej przykładowe formy wymienia odpowiednią oprawę, właściwe wyeksponowanie w przestrzeni, muzealizację, dodanie opisu, który pozwala zrozumieć historię oglądanej rzeczy. Weźmy drastyczny przykład – walizki czy okulary pozostałe po ofiarach niemieckich obozów koncentracyjnych. Wyrzucone na śmietnik byłyby zaledwie górą śmieci. Umieszczone w przestrzeniach o charakterze muzealnym, uzupełnione narracją, którą mogą poznać zwiedzający, stały się świadectwem historycznym.

Ten element ma fundamentalne znaczenie. Bez niego pamiątka może nie uzyskać statusu „historycznej”, a być może nawet i całkowicie zniknąć. Zarówno jako schowek na pamięć, jak i fizycznie. „Bo jeśli spojrzeć na pamiątki historyczne okiem nieprzygotowanym – cóż widzimy? Strzępy wypłowiałych tkanin, szczapki spróchniałego drewna, kawałki pordzewiałego żelastwa, kamyki, cieleśne ułamki, jak włosy czy fragmenty kości. Są to wszystko rzeczy niepozorne, nieestetyczne, czasem wręcz odpychające – i jako takie, jeśli nie otoczyć ich opieką, skazane na porzucenie i zagładę” – pisze dobitnie Mencfel.

W podwarszawskim Czersku w 2009 r. odkryto XV-wieczną szkutę, drewniany statek rzeczny do transportu towarów. Obiekt znaleziony w tamtejszym jeziorze, będącym pozostałością starorzecza Wisły, po odsłonięciu i opisanu pozostawiono na miejscu, pozwalając wodzie ukryć go na nowo. W 2018 r. ponownie ją wypompowano i tym razem już wydobyto łódź na brzeg. Obecnie poddawana jest pracom konserwatorskim, aby za jakiś czas stać się głównym eksponatem powołanego niedawno do życia Muzeum Szukuty i Urzecza. Gdyby nie opieka ze strony naukowców oraz plany stworzenia odpowiedniej przestrzeni do eksponowania skutury, wraz z zarysowaniem całej opowieści wokół niej – skąd się wzięła w tym miejscu, jaką rolę pełnił w tamtym czasie Czersk – pozostałaby rozpadającym się zbitkiem drewnianych desek. A tak stanie się pamiątką historyczną.

Podnoszenie statusu pamiątki z sentymentalnej do historycznej ma jeszcze jeden efekt. Przedmiot, który zostaje pokazany w muzeum, opisany w książce, uwieczniony na filmie, zostaje wpisany w historię większej zbiorowości. Traci swój intymny charakter. Dobrze ten mechanizm widać na przykładzie przedmiotów z czasów zaborów czy okupacji, gdy z uporem poszukiwano symboli narodowych. Materiał pokrywający trumnę Katarzyny Sowińskiej, żony gen. Józefa Sowińskiego, został podczas jej pogrzebu rozdarty przez żałobników, którzy zabrali go na pamiątkę, a w latach 1939–1945 po ulicznych egzekucjach ludzie nieraz nasączały chustki krwią rozstrzelanych.

Żaden przedmiot nie jest jednak pamiątką z natury. Nie decyduje o tym ani jego wartość artystyczna, ani stojąca za nim historia, lecz nasz wybór. Chusty nasiąkłe krwią oraz strzępy tkaniny z pogrzebu generałowej Sowińskiej poza funkcjonowaniem w przekazach historycznych nigdy nie weszły do kanonu pamiątek historycznych, pamiątek narodowych, bowiem nie zostały nigdy i nigdzie pokazane w sposób, który zbudowałby ich pozycję.

Zupełnie inny los spotkał drewnianą nogę Sowińskiego. W 1812 r., w trakcie bitwy pod Borodino, Józef Sowiński, wówczas 35-letni kapitan, został trafiony kulą armatnią w prawą nogę. Kończynę trzeba było amputować. Żeby mógł się poruszać, przygotowano dla niego drewnianą protezę, małe dzieło sztuki warszawskich rzemieślników. Oczywiście nie jedną, a kilka, które wymieniał wraz z zużywaniem się kolejnych egzemplarzy. Z czasem ta drewniana noga stała się jego znakiem rozpoznawczym. Gdy zginął w obronie Warszawy przed Rosjanami we wrześniu 1831 r., Juliusz Słowacki w pamiątkowym utworze „Sowiński w okopach Woli” opisał, jak to: „W starym kościełku na Woli/ Został generał Sowiński,/ Starzec o drewnianej nodze./ I wrogom się broni szpadą”.

Protezy kończyn są przedmiotami codziennego użytku dla milionów, rzadko kiedy stając się elementami opowieści. W historii wojen niejednego żołnierza mającego sztuczną rękę czy nogę poniosła bohaterską śmierć jak Sowiński. A jednak to jego drewniana noga, którą dzisiaj można oglądać w Muzeum Wojska Polskiego, stała się symbolem, nośnikiem pamięci historycznej, pamiątką narodową opowiadającą historię powstania listopadowego, ale też straconych nadziei na odzyskanie wolności.

Czyja jest pamięć?

Każda pamiątka, jeśli się chwilę nad tym zastanowimy, to katalog strat. Niezależnie od tego, czy wspomnienia, które za nią stoją, są dobre czy złe, są to wykazy tego, co minione. Ale czyj jest ten katalog? Kto wpisuje do niego kolejne elementy? Pierwotny właściciel czy też kolejni? To również pytanie o to, do kogo należą zmarli.

Zazwyczaj nie mamy co do tego wątpliwości. Depozytariuszami pamięci po człowieku, który zgasł, są jego najbliżsi. Rodzina, przyjaciele, znajomi.

Każdy z nich nosi jakąś część opowieści. To nie jest jedynie poetyckie porównanie, ale również doświadczenie historyka. Rekonstruując życiorysy dziesiątków ludzi, budowałem opowieści o nich z niezliczonych relacji osób, które na różnych etapach życia moich bohaterów miały z nimi styczność.

W niektórych przypadkach to jedynie początek listy „właścicieli pamięci”. Łatwo jeszcze jest, gdy mówimy o postaciach takich jak Jan III Sobieski, Tadeusz Kościuszko, Maria Skłodowska-Curie... Przez swoje znaczenie dla historii, przez dokonania i rozpoznawalność za życia, od momentu zgonu byli oni własnością narodu. Opowieści o nich budują naszą wspólną tożsamość, stanowią podstawę do rozmów o naszych błędach, sukcesach, o zmarowanych i wykorzystanych szansach. Są alfabetem społeczeństwa. Co jednak zrobić z tymi, którzy nie mieli za życia pozycji takiej jak ci wymienieni?

Gdy w 1849 r. w Rzymie trwały walki między włoskimi rewolucjonistami a wojskami francuskimi, na barykadach po stronie Republiki Rzymskiej walczył legion Adama Mickiewicza (poeta w trakcie walk przebywał we Francji). W jego szeregach znajdował się młody chłopak, wyposażony w szablę oraz pistolety, które podarowała mu matka. Broń wedle przekazów miał kobiecie dać sam Kościuszko. I do kogo należy teraz pamięć o jej synu, który ostatecznie zginął w Wiecznym Mieście? Do rodziny, o ile żyją potomkowie, czy przez posiadanie broni będącej wcześniej własnością Naczelnika już do narodu?

A czyja jest pamięć o powstańcach warszawskich? Prywatna czy narodowa? Większość z nich ma swój grób, na który przychodzą bliscy, ale też ludzie niepowiązani z nimi ani rodzinnie, ani towarzysko. 1 sierpnia czy 1 listopada powstańcze kwatery na Powązkach Wojskowych pełne są zniczy i kwiatów. Zdarzają się co jakiś czas spory o to, jakie formy upamiętnień są właściwe. Gdy kilka lat temu na niektórych grobach ktoś rozstawił kolorowe zdjęcia powstańców, w krótkim czasie ktoś inny je zabrał. Doszło do kłótni, która toczyła się również w przestrzeni cyfrowej. Pomijając to, czy takie honorowanie pamięci jest właściwe, warto zapytać, kto i jak powinien decydować o tym, czy można je stosować na grobach uczestników insurekcji z 1944 r.? Krótko po wojnie toczyła się wojna o pamięć po powstańcach. Dochodziło do sporów o to, gdzie kto powinien być pochowany. Dzisiaj obserwujemy po prostu kolejną jej odsłonę.

Jeśli przyjmiemy, że są ludzie, których życiorysy, a przez to także pamiątki po nich, należą do większej zbiorowości, to czy istnieje granica opowiadania o nich? Co wolno, a czego nie wolno powiedzieć? Prawdopodobnie większość historyków zajmujących się XX w. zadawała sobie to pytanie. Sam nieraz się cenzurowałem, ukrywając dane ludzi, o których opowiadałem, uznając, że pewne historie bez właściwego kontekstu, którego nie umiałem zbudować wobec braku materiałów, mogą zbudować fałszywy obraz tych ludzi, czyniąc im krzywdę. Mogłem się mylić.

Rok temu sensację wzbudziła historia buławy, która rzekomo miała należeć do hetmana Jana Klemensa Branickiego. Insignium znajdujące się w zbiorach Ordynacji Krasińskich zniknęło podczas ostatniej wojny. Nie było wiadomo, jak i kiedy ani kto może je mieć. Buława trafiła na stworzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego listę strat kultury polskiej. Kilka lat temu została kupiona przez pewnego poznańskiego kolekcjonera. Sprzedawcą był potomek człowieka, który miał ją legalnie nabyć już po wojnie, w Londynie. W 2022 r. sprawą zainteresowały się polska policja oraz prokuratura. Buławę skonfiskowano, a sprzedający i kupujący usłyszeli zarzuty przywłaszczenia oraz współudziału w paserstwie. Wszystko rozbija się o to, że według prokuratury buława należy do Skarbu Państwa, zaś obrońcy mężczyźni przekonują, że eksponat należał przed wojną do osób prywatnych, a nie do państwa, więc dlaczego teraz miałoby być inaczej? Pomijając kwestie prawne, które oczywiście będą rozstrzygające dla sprawy, to jest to idealny przykład na to, jak trudno rozdzielić kwestie „własności pamięci”.

Przyjdźmy do ławeczki

„Szczegóły są palcami olbrzyma” – mówił Philip Roth, amerykański pisarz, a powtarza za nim Małgorzata Szejnert, która wykształciła całe pokolenie polskich reportażystów. Oboje wielokrotnie w swoich tekstach udowodnili, że dzięki szczegółom możemy lepiej opisać naszą rzeczywistość – w tym i przeszłość. Zachowywanie ich, dbanie o to, aby przechodziły w ręce następnych pokoleń, jest więc dbałością o pamięć i o prawdę. Pamiątki są zaś niczym innym jak właśnie tymi szczegółami.

„Przychodzę więc nawoływany, przesyłkę odbieram, własnym podpisem ten nieproszony, nieadresowany dar na tyłu stronach kwituję i wołam was, bo może i z was ktoś przyjdzie, ktoś przybędzie na stałe do mojej ławeczki, wołam, przyjeżdżcie najlepiej wszyscy w dowolnym czasie, który będzie się stawał, przyjeżdżcie ze wszechstron jakąkolwiek kolejką od rana do wieczora i czytajcie, czytajcie proszę” – pisze w „Twórkach”, poetyckiej powieści o wojnie i pamięci, Marek Bińczyk. A potem jeszcze prosi: „sygnujcie na nowo, potwierdźcie, pogwitujcie, podpiszcie kiedyś odbiór, dorzucicie, wy wszyscy dziś niby imienni, swoje post, post-scriptum”.

My, dziś niby imienni, powinniśmy czytać historie już istniejące i dopisywać do nich swoje, kolejne. W ten sposób mamy szansę ocalić pamięć o sobie samych. Kiedyś zaś może staniemy się częstkami większych narracji. To chyba nienajgorsza perspektywa.

©©



Więcej tekstów
tej autorki
Skanuj
kod!
DGP.pl



FOT. KEYSTONE-FRANCE/GAMMA-KEystone VIA GETTY IMAGES

Migranci nad Sekwaną mle widziani

Imigranci zarobkowi
z Algierii przybywają
do Francji.
1 stycznia 1962 r.

Receptą na niedomagania Francji stali się w XX w. imigranci. Zapraszając do republiki miliony przybyszy, zakładano, że każdy z nich w końcu zapragnie być Francuzem

Andrzej

Krajewski

Kolejne fale zamieszek, jakie przetaczają się przez francuskie miasta, skłaniają do dwóch wniosków. Po pierwsze: Francja stała się atrakcyjnym krajem, który potrafi przyciągać migrantów. Po drugie: zaowocowało to kosztami, jakich się nie spodziewano.

Bo o ile polityka migracyjna przyniosła liczne sukcesy, o tyle na polu asymilowania się imigrantów przestano je odnosić już pół wieku temu. A co gorsza, dawne korzyści ekonomiczne wypracowane przez przybyszy zostały przewyższone przez obecne straty.

Nowi Francuzi pilnie potrzebni

„Obecność licznych cudzoziemców we Francji wynikała z wieloletniego spadku wskaźników demograficznych. By-

ło to związane z dominującym od blisko trzech stuleci modelem rodziny, zgodnie z którym starano się ograniczać liczbę dzieci. Dodatkowo I wojna światowa przyniosła wielkie straty w ludziach. W wyniku działań wojennych zginęło ponad 1,5 mln Francuzów” – pisze Paweł Sękowski w książce „Narodziny i pierwsze lata polityki imigracyjnej Francji (1945–1952)”.

Po wojnie Francuzów ogarnął wielki strach przed depopulacją kraju i jeszcze większy przed zagrożeniem ze strony zachodniego sąsiada. W 1920 r. Francję zamieszkiwało 40 mln obywateli, a Niemcy 62 mln. Co gorsza, współczynnik dzietności, określający zastępowalność pokoleń, był o połowę niższy od niemieckiego – i wynosił ok. 1,8 dziecka. Bano się zatem, że gdy znów nadejdzie wojna, to państwo niemieckie zdoła powołać pod broń o wiele więcej rekrutów niż Francja.

Zatem w 1924 r. ruszyła kampania Narodowego Sojuszu na rzecz Wzrostu Ludności Francuskiej (Alliance nationale pour l'accroissement de la popula-

tion française) pod hasłem: „Bez dzieci dzisiaj, jutro nie będzie Francji”. Jednak wysiłki stowarzyszenia, cieszącego się poparciem rządów, wsparte wprowadzeniem zakazu reklamy środków antykoncepcyjnych oraz uznaniem aborcji za przestępstwo, niewiele dały. Według spisu powszechnego z 1936 r. w III Republice na 100 rodzin przypadało średnio tylko 180 żyjących dzieci.

Aby choć po części zasypać demograficzną dziurę, francuski rząd pod koniec 1919 r. i na początku 1920 r. zawarł traktaty z Włochami, Polską oraz Czechosłowacją; na ich mocy pracodawcy mogli prowadzić werbunek pracowników – chodziło o górników, robotników do fabryk oraz ludzi znających się na uprawie roli. Edmond Gogolewski w opracowaniu „Les polonais en France avant la Seconde Guerre Mondiale” wylicza, że głównie tą drogą trafiło do Francji i już tam pozostało ok. 0,5 mln Polaków, niecały 1 mln Włochów oraz ok. 70 tys. Czechów.

Tak wielka fala migrantów przyniosła ożywienie gospodarcze. Nie sprawia-

li oni także większych kłopotów, więc francuski parlament w sierpniu 1927 r. przyjął ustawę o ułatwieniach w dostępie do obywatelstwa. Emigranci zarobkowi mogli je otrzymać po 3 latach stałego pobytu, a jeśli okazywali się niezbędni lub czymś się zasłużyli, to nawet już po roku. Do wybuchu II wojny światowej tą drogą III Republika zapewniła sobie prawie milion nowych obywateli. Oni zaś karnie dostosowywali się do jej wymagań. Jednocześnie dzieci przybyszy, uczęszczające do francuskich szkół, błyskawicznie się asymilowały. Dostrzegano zatem mnóstwo korzyści płynących z imigracji, przy zanikomej liczbie strat. Generowali je przede wszystkim przybysze angażujący się w działalność Partii Komunistycznej. Ale z nimi radzono sobie szybko, deportując wyrotowców.

Te pozytywne doświadczenia długo po 1945 r. kształtowały sposób myślenia polityków, gdy Francja musiała podnosić się po klęsce, jaką przyniosła jej II wojna światowa.

Emigranci wzorcowi

„Po zakończeniu II wojny światowej, w świetle spisu powszechnego z 10 marca 1946 r., Francję zamieszkiwało 1 743 619 cudzoziemców i 853 144 Francuzów naturalizowanych, tzn. takich, którzy uzyskali obywatelstwo francu- ➤

skie w wyniku decyzji administracyjnej, wcześniej zaś mieli obywatelstwo innego państwa. Wreszcie oddzielną kategorię stanowiło 22 114 «algierskich muzułmanów» – pisze Sękowski. Największą diasporę migrantów, liczącą 0,5 mln, tworzyli Włosi. Niewiele mniej doliczono się Polaków. Trzecie miejsce wśród obcokrajowców na stałe mieszkających we Francji zajmowali Hiszpanie w liczbie ok. 300 tys.

Nim jeszcze pozyskano tę wiedzę, władze odbudowującej się Francji uznały kryzys demograficzny za podstawowe zagrożenie dla przyszłości państwa. Mówił o tym w wystąpieniu przed Zgromadzeniem Konstytucyjnym 2 marca 1945 r. gen. Charles de Gaulle. „Premier Tymczasowego Rządu Republiki Francuskiej zwrócił uwagę, że we Francji w dalszym ciągu brakuje mężczyzn, a tym samym rąk do pracy” – relacjonuje Sękowski. „Wtedy również wyraził życzenie, aby we Francji pojawiło się «12 mln pięknych małych dzieci», wraz z nową, racjonalną i metodyczną polityką, mającą na celu przyjęcie «dobrych elementów» przez ich imigrację do społeczności francuskiej” – dodaje.

Wprawdzie generał, po tym jak nowa konstytucja, powołująca do życia IV Republikę, nie spełniła jego oczekiwań, podał się do dymisji, jednak nagłośniona idea żyła już własnym życiem. Rządowy Komisariat Generalny ds. Planu, którym kierował Jean Monnet, wyliczył, że francuska gospodar-

Masowość migracji oraz zmianę geografii rekrutacji politycy lekceważyli z racji zachłyśnięcia się sukcesami ekonomicznymi

ka potrzebuje sprowadzenia z zagranicy 1,5 mln pracowników. Plany te okazywały się skromne wobec postulatów „stronnictwa demograficznego”, jakie się wówczas uaktywniło. Jego kluczowymi ośrodkami stały się dwie instytucje – utworzone w 1945 r. Wysoki Komitet Konsultacyjny ds. Ludności i Rodzin, kierowany przez Georges’a Mauco, oraz Narodowy Instytut Studiów Demograficznych, którego szefem został, nazywany ojcem francuskiej demografii, Alfred Sauvy.

Obaj naukowcy byli doradcami de Gaulle’a, a także starali się propagować swoje idee wśród innych polityków. „Zdecydowana większość «demografów» popierała kryterium absorpcji demograficznej terytorium Francji – co prowadziło do konkluzji o niezbędności przyjęcia między 4,35 mln a aż 9,76 mln dorosłych imigrantów (między 5,49 mln a 14,39 mln imigrantów ogółem)” – podkreśla Sękowski. W praktyce oznaczałoby to zwiększenie liczby mieszkańców IV Republiki w krótkim czasie o ponad 20 proc. Socjalistyczny rząd premiera Léona Bluma nie wykazał się aż taką odwagą i w styczniu 1947 r. zdecydował się

kierować zaleceniami sformułowanymi przez Monneta.

Geografia ma znaczenie

Wkrótce okazało się, że zapewnienie Francji dopływu nowych obywateli, określanych mianem imigrantów zarobkowych (travailleurs immigrés), nie było takie proste. Całą Europę Środkową oddzieliła od Zachodu żelazna kurtyna, co odcięło IV Republikę od jednego z kluczowych rezerwuarów migrantów. Poza tym w przeciwieństwie do Francji po I wojnie światowej, ta podnosząca się po niemieckiej okupacji już nie wydawała się tak atrakcyjnym miejscem do życia.

Wprowadzenie dla imigrantów zarobkowych łatwo dostępnych kart pobytu niewiele pomogło. W latach 1946–1952 przybyło nad Sekwanę ledwie 245 tys. zagranicznych pracowników, przywożąc ze sobą ok. 71 tys. członków rodzin. Większość stanowili Włosi. Odpowiedzialny za prowadzenie rekrutacji za granicą i legalizowanie pobytu Narodowy Urząd Imigracyjny (ONI) spotykała za to powszechna krytyka. Francuska gospodarka potrzebowała rąk do pracy, zatem przedsiębiorcy wspólnie ze „stronnict-

stwem demograficznym” bili na alarm. To zainicjowało proces, który Jean-Hugues Déchaux w opracowaniu „Les immigrés et le monde du travail: un nouvel âge de l’immigration?”, nazwał „zmianą geografii rekrutacji”.

Do Francji zaczęli napływać imigranci z Afryki Północnej, przede wszystkim z Algierii – mającej wówczas status francuskiego terytorium narodowego. Zamieszkujący ją Arabowie wprawdzie nie mieli obywatelstwa IV Republiki, jednak mogli być zatrudniani po drugiej stronie Morza Śródziemnego bez zgody ONI. Z czego zaczęły korzystać przedsiębiorstwa budowlane, duże gospodarstwa rolne oraz fabryki samochodów. Już w połowie lat 50. pracowało we Francji ok. 200 tys. Algierczyków. I choć w ich ojczyźnie wybuchło wówczas antyfrancuskie powstanie, nie ucięło ono migracji.

Jedyną nacją równie licznie napływającą nad Sekwanę stali się Portugalczycy. Aczkolwiek oni szybko się asymilowali w przeciwieństwie do muzułmanów. Jednak niezależnie od pochodzenia przyjmowano wszystkich z otwartymi ramionami. „Od 1957 r. wskaźnik legalizacji pobytu stale przewyższał 50 proc. wjazdów, przekraczając 70 proc. w latach 1962–1967, a nawet osiągając 80 proc. w 1965 r. Populacja imigrantów odnotowywała wówczas silny wzrost: w latach 1962–1968 wzrosła o 0,5 mln, co stanowiło tempo niespotykane od lat 20. XX w.” – opisuje Jean-Hugues Déchaux.

Masowość migracji oraz zmianę geografii rekrutacji politycy lekcewa-

AUTOPROMOCJA



Analogie Prezydentura pełna skandali



Andrzej Krajewski
Dziennik Gazeta Prawna



Piotr Czarnowski
Dziennik Gazeta Prawna



dgp.pl/wideo

KOMUNIKAT

KOLEGIUM REGIONALNEJ IZBY OBRACHUNKOWEJ W POZNANIU

ogłasza konkurs na stanowisko prezesa regionalnej izby obrachunkowej

I. Kandydaci przystępujący do konkursu na prezesa izby powinni spełniać następujące kryteria:

- posiadanie pełnej zdolności do czynności prawnych;
- posiadanie obywatelstwa polskiego i korzystanie z pełni praw publicznych;
- ukończenie magisterskich wyższych studiów prawnych, administracyjnych, ekonomicznych lub posiadanie stopnia naukowego w jednej z tych dziedzin wiedzy;
- posiadanie co najmniej czteroletniego stażu pracy w jednostkach związanych z funkcjonowaniem samorządu terytorialnego lub finansów publicznych;
- brak skazania prawomocnym wyrokiem sądu, orzecznym za przestępstwo umyślne.

II. Oferty kandydatów powinny zawierać:

- uzasadnienie przystąpienia do konkursu;
- kwestionariusz osobowy;
- życiorys z opisem przebiegu pracy zawodowej;
- odpis dyplomu oraz inne dokumenty potwierdzające dorobek i kwalifikacje zawodowe;
- informację z Krajowego Rejestru Karnego, opatrzoną datą nie wcześniejszą niż trzy miesiące przed jej złożeniem.

Oferty wraz z dokumentami należy składać w siedzibie izby, w zamkniętych kopertach z dopiskiem: **KONKURS NA PREZESA REGIONALNEJ IZBY OBRACHUNKOWEJ**

pod adresem: Regionalna Izba Obrachunkowa w Poznaniu
ul. Zielona 8
61-851 Poznań

Termin składania ofert – 30 dni od daty ukazania się ogłoszenia.

Kandydat przedstawiany Prezesowi Rady Ministrów, urodzony przed dniem 1 sierpnia 1972 r., będzie zobowiązany złożyć oświadczenie lustracyjne zgodnie z ustawą z dnia 18 października 2006 r. o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa z lat 1944–1990 oraz treści tych dokumentów (Dz. U. z 2025 r. poz. 1519).

Klauzula informacyjna dotycząca przetwarzania danych osobowych wynikająca z art. 13 RODO jest zamieszczona w Biuletynie Informacji Publicznej Regionalnej Izby Obrachunkowej w Poznaniu pod adresem bip.poznan.rio.gov.pl wraz z ogłoszeniem o konkursie.

AUTOPROMOCJA



Subskrybuj 29 zł za miesiąc przez 3 miesiące




Z Płatnościami powtarzalnymi BLIK

Wygenerowane przy użyciu AI



Subskrybuj na:
dgp.pl/subskrypcja

FRANCJA

żyli z racji zachłyśnięcia się sukcesami ekonomicznymi. Okres między 1950 r. a 1973 r. zyskał w historii Francji nazwę „trzydziestu chwalebnych lat” (Les Trente Glorieuses). Gospodarka rosła jak na drożdżach w średnim tempie 5 proc. PKB rocznie. Nawet znajdujące się u szczytu ekonomicznego powodzenia Stany Zjednoczone rozwijały się wolniej, odnotowując średni wzrost PKB w okolicach 3,6 proc. Bezrobocie oscylowało w okolicach 2 proc., gdy w tym samym czasie Amerykanie doświadczali dwukrotnie wyższego i wcale nie uznawali go za szczególnie uciążliwe. Francuskim rodzinom żyło się coraz dostatniej, zaś kraj dorobił się globalnych championów na czele z Renaultem, Peugeotem, Michelinem, Elfem, EDF.

Skoro gospodarka pędziła do przodu, starano się jej zagwarantować dopływ nowych rąk do pracy. Około miliona Europejczyków z Algierii oraz Arabów wiernych republice (nazywanych harkis) wpuszczono do Francji po uznaniu w 1962 r. niepodległości zbuntowanej kolonii. Z Indochin przesiedlono 30 tys. uchodźców. Otworzono kraj na napływ ludzi z byłych kolonii w środkowej Afryce. I gdy wszystko szło znakomicie, jesienią 1973 r. rozpoczął się pierwszy kryzys naftowy. Embargo nałożone przez państwa OPEC na kraje wspierające Izrael sprawiło, że ceny paliw poszybowały w górę. W efekcie po trzech dekadach prosperity gospodarka francuska znalazła się w głębokiej recesji, a prawie 800 tys. ludzi straciło pracę.

Wady ukryte

Nieprzywykli do kryzysów ekonomicznych prezydent Valéry Giscard d'Estaing i premier Jacques Chirac zdecydowali się działać dopiero na początku lata 1974 r. Wówczas z ich polecenia wydano okólnik nakazujący zawieszenie rekrutacji zagranicznych pracowników.

Wszystkie problemy, maskowane dotąd szybkim wzrostem gospodarczym, zaczęły dawać o sobie znać. Jak zauważa Jean-Hugues Déchaux, imigranci zarobkowi byli dla Francji bytem „mającym na celu uzupełnienie krajowego niedoboru siły roboczej w okresach wyjątkowego wzrostu gospodarczego”.

W tamtym czasie francuska demografia miała się całkiem nieźle, a na pewno lepiej niż przed II wojną światową. Dzięki temu na początku lat 70. liczba mieszkańców republiki przekroczyła 52 mln. Wraz z nadejściem wyższego bezrobocia migranci wykonujący głównie proste prace fizyczne – wedle opisu Déchaux – „kompensujący słabości gospodarki i uelastyczniali jej funkcjonowanie”, przestali być potrzebni. To spowodowało, że stali się problemem, który za nic na świecie nie chciał udać się z powrotem do swych ojczyzn. „Aby zachęcić imigrantów do wyjazdu, ustanowiono program pomocy w powrocie w wysokości 10 tys. franków dla wszystkich, którzy stali się bezrobotni lub przebywali we Francji dłużej niż pięć lat, ale chcieli dobrowolnie wrócić do kraju pochodzenia” – opisuje w opracowaniu „La politique

de la France” Patrick Weil. „Jednak zachęta do dobrowolnych wyjazdów zawiodła. W marcu 1978 r. rząd podjął decyzję o zorganizowaniu przymusowego powrotu większości imigrantów z Afryki Północnej legalnie przebywających we Francji” – dodaje.

Za Morze Śródziemne zamierzano odesłać 0,5 mln Algierczyków. Paryż zasantażował wówczas tamtejszy rząd groźbą licznych sankcji, gdyby nie zgodził się na przyjęcie repatriantów. Ale o wszystkim zdecydował tężejący opór w samej Francji. „Plan ten spotkał się z tradycyjnym sprzeciwem partii lewicowych, związków zawodowych i Kościołów. Mniej znana, ale decydująca o jego porażce była opozycja administracji, RPR (Zgromadzenie na rzecz Republiki, jedna z głównych partii gaullistowskich – red.), CDS (Centrum Demokratów Społecznych) i wreszcie Rady Stanu – najwyższego sądu, który uznał, że nastąpiło naruszenie przez ten projekt wartości republikańskich” – pisze Patrick Weil.

Tymczasem perturbacje ekonomiczne sprawiły, że po ponad dwóch dekadach dominowania gaullistów na scenie politycznej wyborcy zdecydowali się oddać władzę w ręce socjalistów. Rozpoczynając urzędowanie w 1981 r., prezydent François Mitterrand zdecydował się zerwać z polityką poprzedników. „Prawa osób legalnie przebywających we Francji zostały znacząco wzmocnione: ograniczono uprawnienia MSW w zakresie deportacji oraz zniesiono wymóg uzyskiwania wcześniejszych ze-

zwoleń na zawieranie małżeństw, łączenie rodzin i tworzenie stowarzyszeń. Zlikwidowano zachęty finansowe do dobrowolnych powrotów, co stanowiło sygnał, że takie powroty nie są już wspierane” – wylicza Weil. „To właśnie w tym okresie na scenie politycznej pojawił się Front Narodowy, którego program opierał się na postulatach wydalania imigrantów spoza Europy” – dodaje.

Po czym nowe załamanie ekonomiczne, jakie nadeszło w 1983 r., sprawiło, że Mitterrand znów zaostrzył przepisy. Nie zmieniało to faktu, że przeprowadzony rok wcześniej spis powszechny przyniósł wiedzę, iż w V Republice przebywało 4,03 mln migrantów, z czego około połowa przyjechała z krajów muzułmańskich. Ich sytuacja materialna, i tak nienajlepsza, mocno się w ciągu 10 lat pogorszyła. Stopa bezrobocia wzrosła ośmiokrotnie i przekroczyła 16 proc. Wśród rdzennych Francuzów wynosiła niecałe 9 proc.

Odnotowano też wśród przybyszów wzrost skłonności do buntów i protestów. Jednocześnie z racji prawa ziemi ich dzieci miały otwartą drogę do otrzymania francuskiego obywatelstwa. Ta wiedza nie budziła wśród polityków zaniepokojenia. Wedle przeprowadzanych wówczas badań jedynie 16 proc. młodych muzułmanów regularnie odwiedzało meczety. Zatem panowało powszechne przekonanie, że pójdą tą samą drogą co potomkowie migrantów z Włoch i Polski przed II wojną światową. Asymilując się i stając się przykładnymi obywatelami V Republiki. ©©

REKLAMA

BLAST

MERCH BLASTCAST! JUŻ DOSTĘPNY



KUP
TERAZ

CAST!



FOT. WOJTEK GORSKI

Czy Zachód może nadrobić stracone lata?

Rafał Woś

Odzyskanie przez Zachód kontroli nad technologiami przyszłości będzie trudnym zadaniem. Piekliennie trudnym. Pokażę to na przykładzie ogniwa litowo-żelazowo-fosforanowego.

Za tą przydługą nazwą – skracaną do LFP lub LiFePO₄ – kryje się coś dla współczesnej gospodarki kluczowego: ze względu na dość niskie koszty, wysokie bezpieczeństwo, stabilność termiczną i długą żywotność takie ogniwa znajdują szerokie zastosowanie. Używa się ich powszechnie w samochodach elektrycznych (nawet połowa wszystkich ogniw w elektrykach to LFP), ale też w magazynach energii czy systemach zasilania awaryjnego. W tym ostatnim przypadku ogniwa stanowią kluczowy element infrastruktury centrów danych, co znaczy, że są fundamentem rozwoju AI.

W czym problem? W tym, że cały łańcuch produkcji LFP zdominowały Chiny. Zaczyna się już na etapie surowców naturalnych. Do budowy ogniwa potrzebne są lit, żelazo i skała fosforytowa. Dostawy dwóch pierwszych pierwiastków są w miarę bezpieczne dzięki temu, że ich wielkimi producentami są Australia oraz kilka krajów Ameryki Południowej. Z kolei trzeci element wydobywają u siebie także sami Amerykanie, ponadto ma go pod dostatkiem np. Maroko. Jednak jest jeszcze czwarty kluczowy składnik technologii LFP. To grafit, z którego wytwarza się

anodę (elektrodę, przez którą prąd elektryczny wpływa do urządzenia).

A kto jest światowym potentatem produkcji grafitu? Tak, zgadliście. Chiny.

Istnieje możliwość przełamania monopolu Państwa Środka. Polega ona na produkcji grafitu syntetycznego – uzyskiwanego z węgla. Te technologie są ostatnio rozwijane w USA i stanowią przykład obiecującej rekarbonizacji – użycia węgla w nowoczesnej gospodarce nie tylko dla celów energetycznych. Ale na razie produkcja syntetycznego grafitu jest wciąż za mała, by mówić o przełamaniu chińskiej dominacji.

Idźmy dalej. Teraz jesteśmy już pośrodku łańcucha produkcji ogniwa LFP. To moment, gdy trzeba te surowce poddać procesowi chemicznej obróbki. Przez ostatnie dwie-trzy dekady Chiny przyswoiły olbrzymią część know-how i technologii potrzebnych do takich procesów. Na dodatek na tym etapie potrzebne są kolejne składniki, w których produkcji wyspecjalizowało się Państwo Środka. Nie chodzi o to, że inni nie mogą tego robić. Rzecz w tym, że aby osiągnąć chińską wydajność, potrzeba ogromnych inwestycji. A z ich mobilizacją bywa w zachodnich kapitalistycznych gospodarkach spory problem. W efekcie jakieś 98 proc. materiału potrzebnego do budowy katody (elektroda, przez którą z urządzenia wypływa prąd elektryczny), stanowiącej kluczowy element każdego akumulatora LFP, pochodzi dziś z Chin.

Tylko końcowa faza produkcji (downstream) – fizyczne składanie ogniw – stała się bardziej rozdrobniona geograficznie. Chiny wciąż są miejscem, gdzie znajdziemy najwięcej tego typu fabryk – ok. 67 proc. globalnej produkcji. Ten udział stale jednak spada. Rośnie zaś udział Korei Południowej i USA w składaniu ogniw.

Dopiero mając świadomość całego zarysowanego tu procesu, możemy w ogóle zacząć mówić o przełamywaniu zależności. A w perspektywie może i odzyskaniu przewagi przez Zachód. Proces ten będzie jednak długi. To dobrze, że się zaczął – bo jeszcze dekadę albo półtorej temu – elity polityczne Ameryki czy Europy w ogóle nie miały nawet ochoty się tym zajmować. Musimy jednak mieć świadomość, że stoimy dopiero na samym początku tej drogi.

©

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

Bogaci zarabiają czy zarabiający się bogacą?

Bogatszym taka sama zainwestowana kwota przyniesie wyższy zysk niż biedniejszym

Oszczędzać staramy się wszyscy. Oszczędzanie jest cnotą, także przejawem silnej woli, odłożone pieniądze napędlają nas dumą i zadowoleniem z siebie – wszak zamiast poddać się zakupowemu impulsowi, pomyśleliśmy o przyszłości. Oszczędzają biedniejsi i bogatsi; ci pierwsi z miesięcznego budżetu starają się wysupłać kilka groszy na spełnienie marzeń, drugich pochłania rozmyślanie o inwestycjach.

Czy jednak oszczędności czymś się różnią? Wyniki badań pokazują, że odmiennosć pojawia się już na poziomie najbardziej podstawowej charakterystyki: zwrotu. Zwrotem z oszczędności lub inwestycji mogą być: naliczone oprocentowanie, otrzymana dywidenda, wzrost wartości portfela akcji, a także zysk osiągnięty przez prowadzoną firmę.

Badacze pod kierownictwem Andreasa Fagerenga (norweska Handelshøyskolen BI) wykazali, wykorzystawszy norweskie dane podatkowe, dające wgląd w strukturę majątków obywateli, że procentowy zwrot z aktywów jest pozytywnie skorelowany z majątkiem. Innymi słowy: bogatszym taka sama zainwestowana kwota przyniesie wyższy zysk niż biedniejszym.

Bezpośredni wpływ na to ma struktura portfeli inwestycyjnych. A co wpływa na ich kompozycję? To na pozór proste pytanie nie ma oczywistej odpowiedzi i stanowi być może jedną z kluczowych zagadek dla dzisiejszej ekonomii i polityki gospodarczej. W korelacji między wielkością majątku a wysokością zwrotu z niego można bowiem znaleźć zależności przyczynowo-skutkowe w obydwu kierunkach.

Pierwsza z teorii, nazywana zależnością od typu (type dependence),

mówi, że bogaci są bogaci, ponieważ dysponują wyższym indywidualnym zwrotem z inwestycji. Jest on rezultatem indywidualnych charakterystyk – nazywanych przez ekonomistów typem – na które mogą się składać przedsiębiorczość, wiedza czy indywidualny stosunek do ryzyka. Dzięki tym wrodzonym bądź nabytym cechom niektóre jednostki osiągają wyższy zwrot z inwestycji, co sprawia, że stają się bogatsze.

Odwrotną przyczynowość sugeruje teoria zależności od skali (scale dependence). Jej zwolennicy pokazują, że niektóre najbardziej zyskowne typy aktywów są dostępne jedynie osobom o określonym majątku – np. do założenia firmy potrzebny jest kapitał. Ponadto zwracają uwagę na nieco subtelniejszy, ale być może najważniejszy ze wszystkich efekt: awersją do ryzyka maleje wraz ze wzrostem. Bogaci są skłonni podejmować inwestycje ryzykowniejsze, a zatem dające wyższy oczekiwany zwrot. Co ważne, nie jest to zarzut wobec biedniejszych: ich mniej ryzykowne podejście do swoich oszczędności jest równie racjonalne, ponieważ każda strata wiąże się dla nich z poważniejszymi konsekwencjami. Teoria zależności od skali postuluje zatem istnienie silnego i naturalnego mechanizmu generującego nierówności majątkowe i implikuje niemalże konieczność zewnętrznej (w domyśle: państwowej) interwencji w niestabilny system.

Ekonomiści Laurent Calvet (francuska SKEMA Business School) oraz Paolo Sodini (Wyższa Szkoła Handlowa w Sztokholmie) od 20 lat badają zależności między majątkiem i zwrotem z niego, pracując na szwedzkich danych, zbliżonych strukturą do norweskich. Udało im się m.in. udowodnić, że go-

spodarstwa domowe osiągające wyższy zwrot z oszczędności podejmują znacznie wyższe ryzyko, a także podać w wątpliwość istnienie ponadprzeciętnego talentu inwestorskiego u najbogatszych, gdyż wskazali, że przy założeniu podobnego poziomu ryzyka te osoby nie uzyskują wcale wyższego zwrotu.

Jedną z ich ciekawszych metod jest porównanie wyników inwestycyjnych wśród bliźniąt w celu rozdzielenia wpływu zależności od typu i zależności od skali. Jeśli założyć u nich tożsame charakterystyki, to zaobserwowana wysoka korelacja między ich oczekiwanymi zwrotami z inwestycji stanowi argument na rzecz zależności od typu. Okazuje się jednak, że przeprowadzona na tej podstawie dekompozycja wpływu poszczególnych czynników na różnice w zwrocie z inwestycji wciąż przypisuje wysoki, a nawet jeszcze wyższy wpływ zależności od skali – zależność od typu i skali wyjaśniały odpowiednio 22 proc. i 33 proc. ogólnej zmienności według metodologii badania.

Badania pozwalają zatem zrozumieć skomplikowaną zależność między bogactwem a procesem dalszego bogacenia się, co pozwala bardziej świadomie prowadzić politykę redystrybucyjną. Gdy się na to spojrzy na poziomie ogólnym, teoria zależności od skali prognozowałaby naturalną tendencję do koncentrowania się majątków i nakazywałaby wobec tego zdecydowaną interwencję, taką jak powrót do wysokich krańcowych stawek podatkowych dla najbogatszych, które w krajach zachodnich obserwowaliśmy w latach 60. XX w.

©

Słuchaj podcastu

GRAPE | Tłoczone z danych

„Giełda. Historia pieniędzy, ryzyka i nadziei”

Lukasz

Krzempek

Autor jest ekonomistą GRAPE